

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JANUSZ GŁOWACKI

PARADIS

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Raport Pilata

Centralne Archiwum Historii Najnowszej,

Zgodnie z ustaleniami przesyłamy przekazane nam przez Departament Śledczy teczki nr 5/6, zawierające zaopiniowane przez nasz wydział materiały dotyczące wydarzeń z września ubiegłego roku.

Wydział
Dokumentacji Historycznej

KOMENDA GŁÓWNA POLICJI. DEPARTAMENT ŚLED CZY

20 września w godzinach popołudniowych pełniłem służbę jako zastępca dowódcy posterunku w sektorze IV, od południa zamkniętym ujściem rzeki, od północy dzielnicą willową, od wschodu placem Zwycięstw i przylegającymi do niego Parlamentem i Komendą Główną. Zachodnią granicę wyznaczają bezładne usypiska śmieci, cementarzysko starych samochodów oraz kompleks baraków przeznaczonych do rozbiórki. Dzielnica ta nie należy do najlepszych, ponieważ wzdłuż rzeki ciągną się lokale, do których wchodzenie nie należy do przyjemności, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Jednak to nie ma nic do rzeczy, jest sprawą znaną, a w dodatku tego dnia w ogóle trudno było mówić o jakimś bezpieczeństwie w związku z rozruchami, które ogarnęły całe miasto. Ja miałem za zadanie zastępowanie dowódcy i dysponowanie patrolami 20, 21 i 22, przy czym jeśli wziąć pod uwagę całość sytuacji, mieliśmy zadanie w zasadzie proste – interweniowanie tylko w szczególnych sytuacjach, a tak jedynie prowadzenie obserwacji i przekazywanie meldunków o ewentualnie tworzących się centrach zapalnych poza głównym rejonem (gdzie zostały zlokalizowane). Przy okazji dodam jeszcze, że całe nasze siły, jak zdecydowano na odprawie u szefa policji – co zresztą też jest wiadome, ale dodaję dla porządku – miały za zadanie jedynie powstrzymać główny napór, a nie rozbijać go, podczas gdy po sprowadzeniu posiłków, w postaci oddziałów specjalnych, w moim głębokim przekonaniu pełne rozproszenie sił demonstrantów leżało w zasięgu naszych możliwości. Jednakże zgodnie z rozkazem lokalizowaliśmy jedynie rozruchy, tworząc zamykające kordony w centrum oraz zajmując się sytuacją na autostradach, dworcach i lotniskach. Jednak od czasu, kiedy ON został po raz pierwszy aresztowany, następnie wypuszczony za kaucją, i kiedy otrzymaliśmy polecenie odblokowania dróg, wszystko przybrało na sile. Nie będę ukrywał swojego zdumienia tą decyzją, jakkolwiek nie do mnie należy ocena posunięć Komendy Głównej. Jednak właśnie po wypuszczeniu GO doszło do tych aktów zniszczenia o znaczeniu politycznym (zagraniczne przedstawicielstwa handlowe), co stanowiło początek dołączenia do bezładnych ruchów coraz to nowych ugrupowań, które poprzednio skłócone, z łatwością utrzymywane były w ryzach. Oświadczam to w tym celu, aby uzasadnić swoją decyzję, którą powziąłem w wyniku otrzymanej drogą telefoniczną informacji od tej kobiety, przekazanej mi w chwili, kiedy wydawałem dyspozycje wyruszającemu patrolowi. Wtedy to nie tracąc czasu udałem się pod wskazany adres. Oczywiście gdybym przypuszczał, że może się wydarzyć to, co się wydarzyło, zachowałbym się inaczej, jednak postępowanie moje było z punktu widzenia służbowego słuszne i nic nie można mu było zarzucić. Tak więc z patrolem złożonym poza mną z trzech ludzi udałem się samochodem pod wskazany adres.

Ludzie nieustannie uważają za dobry dowcip dezinformowanie policji, jednak tym razem głos kobiety był taki, że postanowiłem to sprawdzić. Oświadczyła, że ON jest tam, i

dowiedziałem się, że jest z NIM tylko jedna osoba. Mówiąc to roześmiała się. Potem, w czasie przesłuchiwania jej, okazało się, że ten zmieniony przez słuchawkę dźwięk, który brałem za śmiech, był to raczej płacz.

Rozmowa z nią była utrudniona, ponieważ znajdowała się w stanie zamroczenia alkoholem i, jak podejrzewam, także narkotykami, gdyż na jej ramionach znajdowały się ślady ukłuć. To w połączeniu z jej wyglądem – była w zaawansowanej ciąży i miała rozmazaną szminkę – sprawiło, że odniosłem wrażenie, iż jest starsza, niż się później okazało. Lokal, do którego zostaliśmy wezwani, był nam dobrze znany jako miejsce uprawiania handlu narkotykami i zwykle panował tu tłok trudny do opisania. Jednak tym razem tylko kilka osób chwiała się pod ścianami, kamienna podłoga zalana była wodą, która – jak stwierdził zgodnie z prawdą właściciel – wylewała się z zepsutych kaloryferów, co dodatkowo utrudniało zorientowanie się szybkie w sytuacji, zwłaszcza że kolorowe i białe światło, puszczone przez dwa reflektory, łapało postacie tylko w krótkich przeciągach czasu. Kazałem włączyć normalne światło, wtedy wybuchło pewne zamieszanie, część osób zaczęła się wycofywać do drzwi, jednak zatrzymaliśmy je. Właściciel zaczął tłumaczyć, że z narkotykami już od dawna nie ma nic wspólnego i że donos musiał być fałszywy. Co przerwałem, oświadczając, że takimi sprawami się nie zajmuję, i spytałem o NIEGO, na co zdziwił się w sposób wyglądający na szczery. Ta kobieta doniosła, że ON widocznie uciekł, przy czym w głosie jej nie wyczułem zmartwienia, co mnie od razu uderzyło. Właściciel potwierdził, że ona telefonowała, i raz jeszcze dodał, że JEGO nie widział, zresztą wątpi, czy by GO w ogóle poznał, ponieważ nie jest w stanie wśród tych zarośniętych i poprzebieranych odróżnić kobiety od mężczyzny, a w dodatku, jak ludzie popijają, to wszyscy wyglądają tak samo. Dodał też trafne spostrzeżenie, że słyszał, że ON znajduje się na czele demonstrujących przed Parlamentem. Jednocześnie moi ludzie, którym kazałem na wszelki wypadek przeszukać lokal, wyciągnęli z damskiej ubikacji potężnie zbudowanego, zarośniętego człowieka, który w ręku trzymał opróżnioną butelkę i sprawiał wrażenie, że się tam ukrył. Wtedy ta prostytutka krzyknęła, że ten facet był z NIM od początku, od JEGO wjazdu do miasta i pewno jeszcze wcześniej. Ona sama znajdowała się w towarzystwie dwóch mężczyzn, z których jeden okazał się agentem ubezpieczeniowym, a drugi członkiem orkiestry grającej w nocnym lokalu. Wypuściłem obu później, ponieważ nie wydawało mi się, by mogli cokolwiek wnieść do całej sprawy. Wspominam zresztą o tym tylko dla porządku, chcąc, aby było wyraźne, że wszystko wykonywałem z najlepszą wolą i zgodnie z regulaminem. Natomiast sama wskazała mężczyznę, który zamknął się w damskiej ubikacji, i zeznała, że był z NIM od początku. Wyglądał na dwadzieścia parę lat, oświadczył, że nic o niczym nie wie. Znaleziono przy nim licencję zawodowego boksera i rzeczywiście, sądząc z uformowania nosa i charakterystycznego kształtu uszu, wyglądało to na zgodne z prawdą. Twierdził, że w lokalu przebywał przypadkiem, że chyba wolno mu się napić wina, zaprzeczył, żeby kiedykolwiek widział JEGO i tę kobietę oraz żeby w ogóle zamierzał się ukrywać. Po prostu oddalił się do toalety w celu oddania moczu, a że trafił do damskiej, to w tym chyba nic złego nie ma. Ponieważ na razie w zaistniałej sytuacji zatrzymanie go także nie wydawało się celowe, pozwoliłem mu się oddalić, co uczynił jakby niechętnie, nawet wychodząc już zatrzymał się na moment, odwrócił, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale jednak wyszedł. Najmłodszy w patrolu powiedział, że chyba on rzeczywiście jest bokserem, i coś mu się kojarzyło z jego wyglądem, przypomniał sobie, że już go gdzieś widział na ringu, ale nie był pewien okoliczności, w jakich to się stało. Tymczasem postanowiliśmy przesłuchać tę kobietę uprawiającą zawód prostytutki, a w każdym razie utrwalić część mamrotania, jakie wydawała, sądząc, że może natrafimy na jakąś ważną informację o NIM, dowiemy się, skąd GO zna, kim ON jest i dlaczego postanowiła GO wydać.

Fragmenty nagranej na taśmę wypowiedzi prostytutki Magdaleny, lat 38, brak stałego miejsca zamieszkania, zameżna, odtworzonego dnia 20 września o godz. 18. Na początku taśmy zniekształcenia.

...jak to nie wiem, kiedy to było, tak jest, wtedy. Szło ich, ja wiem, kilkunastu, to zobaczyłam potem, bo ten skurwiel gonił mnie. Lepiej byłoby, jakby mnie złapał. Ale nie. Wyleciałam na jezdnię, nie pamiętam gdzie. Zaraz, zaraz, przestańcie mnie szarpać, przeklęte gliny. Rozmawiacie z diabłem, wszystko zło i świństwo, któreście robili, robicie i zrobicie, jest niczym przy tym, co ja zrobiłam. Wy aniołowie zajebani! Dlaczego mi kazał, dlaczego? On wtedy dogoniłby mnie, tamten facet po ten pieprzony portfel, który mu zabrałam, skopał i nic więcej. Dlaczego tak się stało, dlaczego ON tak kazał, taki dobry? Wtedy jezdnią szli za NIM we dwunastu, musiało być dwunastu, zresztą może było więcej, potem to były już tłumy, kiedy wyście otoczyli te domy. A jak ten gruby, ta świnia, gonił mnie, ON położył mi ręce na głowie i dopiero wtedy zobaczyłam GO, a gruby, zatrzymany przez tego, którego teraz wypuściliście, z krzykiem wydierał się do mnie i na NIEGO krzyczał: „Łobuzie, coś za jeden!” Tak krzyczała ta wstrętne świnia, która przedtem przerznęła mnie obrzydliwie i której zabrałam portfel, a on leciał za mną na ulicę, wpadł w tłok na jezdni, gdzie szedł ON i za NIM inni między samochodami, które trąbiły, wszystko się kotłowało, był cholerny hałas. Szłam przy osłicy, czując na głowie JEGO rękę i czując się bezpieczna tak jak dziecko, ale nie jak to moje dziecko przeklęte, które już żyje, ani to, które noszę w sobie i przez które musiałam kraść, co zresztą powiedziałam MU, bo kto mnie teraz chce z tym bandziochem, poza wykolejeńcami, z którymi zawsze zadawać się jest niebezpiecznie. O Boże, o Jezu, który zrobiłeś cuda, w które nie wierzycie, gliniarze, nie wierzycie, zamiast się modlić, a ja to widziałam, wszystko widziałam. Kto widział, ja widziałam, kto pamiętał, ja pamiętałam. Pamiętam to, widzę, słyszę. A ON mnie kochał, przyszedł do mnie, aby mnie uratować, ale teraz nie wiem, dlaczego kazał mi to zrobić. Może wiecie wy, mądre skurwysyny, dlaczego to zrobiłam, dlaczego przy tym nie zdechłam, dlaczego rusza się we mnie jeszcze ten przeklęty plód, dlaczego, wy skurwysyny...

Na tym kończy się zeznanie spisane z taśmy, ponieważ w tym momencie ona zaczęła się modlić do NIEGO, a sierżant, który jest osobą religijną, trząsł się cały i musiałem go prawie siłą powstrzymać, żeby się na nią nie rzucił. Zresztą ona bełkotała teraz mniej wyraźnie i na koniec ciałem jej zaczęły podrzucać konwulsyjne skurcze, przypominające atak epileptyczny, co ze względu na tę ciążę stanowiło widok przestraszający. Przy tym dodaję, że ten pierwszy, podający się za boksera, a także ona byli sprawdzani na temat strzałów, które oddano z dachu, przy czym zabito policjanta i jednego z tych fanatyków, którzy zamknęli się z NIM w tym budynku. Sprawa była tym ciekawsza, że z tego karabinu, jak stwierdzono z całą pewnością, zabito trzy dni temu kobietę, przy czym strzały padły z wieży kościoła.

I właśnie ON przyznał się do tych trzech zabójstw, zgłaszając się wtedy z tym właśnie karabinem, i został poddany przesłuchaniu przez szefa policji i wypuszczony za kaucją.

Ponieważ tamtego dnia brałem udział w blokadzie domu, a także byłem obecny przy dostawieniu i początku przesłuchania przez szefa policji, który został specjalnie zawiadomiony i przyjechał natychmiast – mogę przytoczyć fragmenty tego, co słyszałem, w celu bezstronnego zanalizowania sytuacji, przy czym powtarzam, że wypuszczenie GO w moim przekonaniu odbyło się zbyt wcześnie. Szef wszedł, jak zwykle, z tym swoim psem w kolorze czarnym, którego rasa wydawała się trudna do określenia. W tym pokoju, poza NIM, było dwóch inspektorów, paru policjantów i ja. Wszystko to odbyło się już po rozmowie wstępnej, w czasie której na pytania znormalizowane, takie jak imię, nazwisko, wiek, zawód, ON nie udzielał żadnej odpowiedzi, co wywołało nawet zdenerwowanie przesłuchujących GO. Natomiast szef umiał z NIM rozmawiać, gładził po łbie tę czarną bestię i zadawał

pytania, zaczynając od sprawy podstawowej, czy rzeczywiście jest NIM i czy przynosi pokój na ziemię. A ON odpowiedział, że nie, że przeciwnie, przyszedł, aby rozdzielać. Na pytanie, czy zamierza rozdzielać pieniądze między biednych albo fabryki między robotników, udzielił odpowiedzi, że ojca i syna, matkę od córki, brata od siostry, a zapytany, co będzie z pokojem i z miłością, oświadczył, że czasy są ostateczne i że powstaną z ognia, który ON rozpali. Szef oświadczył zupełnie słusznie, że GO sobie trochę inaczej wyobrażał, przy czym uważam, że to słowo „trochę” posiadało sens ironiczny. I następnie zapytał, czy ON przypuszcza, że miłość bliźniego swego można osiągnąć przemocą, bo nam się to nie udało. Jednak ON odpowiedział, że rzecz polega na tym, że my działamy przemocą dla przemocy, a ON w imię miłości. Szef głaskał psa i zapytał, czy ON rzeczywiście sądzi, że w taki sposób można zmienić wszystko, co nas otacza (myślał, jak przypuszczam, w ogóle o świecie). A ON wcale nie był zaskoczony, tylko z ogromną pewnością stwierdził, że już jest ostatnia chwila i że albo prawda zwycięży, albo świat w ogóle przestanie istnieć.

W tym momencie nastąpiła dłuższa przerwa, w czasie której przysły jakieś ważne raporty, w każdym razie szefa odwołano. Do końca przesłuchania doszło następnego dnia. W pierwszych słowach szef zakomunikował MU, że jest wolny i może wracać do tych swoich. A trzeba dodać, że po JEGO aresztowaniu demonstracje słabły, bo te tłumy jakby nie umiały działać bez NIEGO. Muszę dodać, że według mojego rozpoznania ON był tak samo zaskoczony jak obecni przy przesłuchaniu. Na pytanie, dlaczego zostaje wypuszczony, że przecież przyznał się, że strzelał i że zabił, szef odpowiedział, że to nieprawda, że skłamał. Dodał, że Nowa Ewangelia się nie zacznie, nie będzie żadnych pytań, kto zabił, nie będzie powodu do zemsty. Potem zapytał, czy męczeństwo nie wydaje MU się chwytem barbarzyńskim i prymitywnym, i dodał, że nie dostanie od nas tej pieczętki, na której MU zależy. Od tej pory wszystko w przesłuchaniu było postawione na głowie, ponieważ ON domagał się zatrzymania GO, a szef uprzejmie udzielił mu wyjaśnień, dlaczego zdecydował się GO zwolnić, twierdząc, że to, że się przyznał, to jeszcze za mało i że my musimy udowodnić MU winę. Wtedy ON wyglądał już na mniej spokojnego i zakomunikował podniesionym głosem, że został schwytany z bronią w ręku, a konkretnie karabinem, z którego zastrzelono ludzi. Na zbijające go z tropu pytania szefa oświadczył, że nieważne, kto strzelał, gdyż sam też by strzelał, a na pytanie, czy nie potępia mordercy, miał odpowiedzieć, że przeciwnie, przyszedł mu pomóc.

Nawiązując do przesłuchania, które wydarzyło się w parę dni później, oświadczam, iż po przesłuchaniu tamtej prostytutki udałem się z patrolem w kierunku placu Centralnego, równocześnie, zgodnie ze swoimi instrukcjami, dokonując penetracji terenu. Od tamtej strony dochodziły pokrzykiwania tłumu, mijaliśmy patrole 26 i 27, dojeżdżając w stronę głównej blokady na placu przed Parlamentem. Wysoko zamontowano kamery telewizyjne, nad tłumem chwiały się różnokolorowe krzyże, przy czym kolorów było więcej niż poprzednio, jak również krzyży, ponieważ jak informowałem, przyłączyły się rozmaite ugrupowania, a sam byłem świadkiem, jak na zebraniu złamano transparent z rewolucyjnym robotniczym hasłem i zbito z niego krzyż w kolorze czerwonym. Obok tego wymienić można krzyże czarne, żółte oraz transparenty z napisami: „Przyszedłem, aby podpalić ziemię”, „Rzućcie w nią, którzy jesteście bez winy”, „Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho...”, dalszej części ostatniego napisu nie odczytałem. Działo się to także dlatego, że Związki Zawodowe ogłosiły strajk, przystępując do demonstracji, domagały się podniesienia płac. W tłumie znajdowali się także przedstawiciele mniejszości narodowych, żądający reform lewicowych, księża domagający się zniesienia celibatu, homoseksualiści oraz tłumy żądające zalegalizowania handlu narkotykami. Przejechaliśmy obok ogromnego plakatu reklamowego największej firmy elektrycznej, na którym wymalowany był ON z żarówką, podpisany: „Przyszedłem, aby dać wam światło.” Na ulicy ludzie czytali gazety, tytuły wywalone były jak rzadko: *Starcia policji*

z fanatykami fałszywego proroka. Są zabici i ranni, Kto stoi na czele hippiesów, Quo vadis, Domine, Chcemy miłości, nie chcemy wojny, Jak długo „czerwony Odkupiciel” będzie pozostawał na wolności, Droga krzyżowa spokojnych obywateli, Pałkami nie rozwiążemy konfliktu, Uszkodzenie sieci telefonicznej, splądrowane sklepy, przerwa w komunikacji – oto plon panowania rzekomego Odkupiciela, Cztery osoby zabite w starciach ulicznych, Komuniści chcą pertraktować, Kto odpowiada za porządek w mieście?

Samochody z zasiekami skutecznie pozamykały ulice, broniąc dojścia do gmachu Parlamentu, od czasu do czasu jedynie tłum napierał, dochodziło do rzucania petard i gazów, po czym tamci się cofali. Zastanawiałem się, czy ON był między nimi, a także nad tym, czy w jakiś sposób brał ON udział, jak to wynikało z meldunków, w kierowaniu dewastowaniem fabryk, przebywając jednocześnie w innym miejscu. Nad okrzykami górował głos z megafonu oświadczający: „Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego”, „Miłujcie nieprzyjaciół wasze”, „A kto by cię uderzył w jeden policzek, nadstaw mu drugi.” Udałem się w celu zorientowania się w sytuacji do oficera kierującego tutaj naszymi siłami, zamierzałem zakomunikować mu o tym telefonie i o przesłuchaniu kobiety, jak również chciałem zostać utwierdzony, że jestem w zgodzie z regulaminem, w celowości prowadzenia dalszych poszukiwań. Wskazano mi, że znajduje się we wnętrzu zradiofonizowanego samochodu. Otworzyłem drzwi mimo jego zarządzenia, aby mu nie przerywano, wszedłem do środka. Major nie zwrócił na mnie uwagi, pogrążony w czytaniu pokreślonej grubej czarnej książki, w której rozpoznałem Biblię. Krawat miał rozpięty i sprawiał wrażenie zmęczonego do ostatecznych granic. Monotonnym, schrypniętym głosem czytał nadal do mikrofonu: „Módlcie się za spotwarzających i prześladujących was”, „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem synami Bożymi będą nazwani.” Dopiero po jakimś czasie zobaczył mnie i ze zniecierpliwieniem machnął ręką, polecając mi się usunąć. Przerwał na chwilę czytanie, pociągnął spory łyk z butelki, która stała obok, i zaczął czytać dalej, znowu nie zwracając na mnie uwagi ani nie chcąc przyjąć żadnego meldunku. Ponieważ nie posiadałem wystarczająco ważnych informacji, wycofałem się i napiłem kawy w małej kuchence rozstawionej za samochodem. Byłem niewyspany, ponieważ w nocy uspokajałem żonę, dręczoną przez koszmar senny. Równocześnie przyglądałem się transmisji telewizyjnej z tego, co działo się na placu, przy czym na naszych ekranach w samochodzie odbiór był niedobry. Poinformowałem się, czy wśród demonstrujących widziano JEGO – kilku oficerów twierdziło, że tak, inni nie byli pewni.

Wróciliśmy do Komendy. Radio podawało przebieg debaty w Parlamencie. Minister spraw wewnętrznych oświadczył, że czyni wszystko, co możliwe, aby zaprowadzić porządek i aresztować przywódcę. Jednak sytuacja na razie mu się wymyka, co wywołało burzę protestów, a u nas reakcję zdziwienia. Ktoś domagał się zastosowania energicznych posunięć, wprowadzenia ludzi mocnej ręki.

Jechaliśmy przez dzielnicę opuszczonych baraków i starych garaży, przeznaczonych zresztą do wyburzenia. Tutaj rzadko wieczorem spotyka się ludzi, ale może to była sprawa związana z przecuciami, poleciłem kierowcy, żeby jechał właśnie tędy, chociaż nie była to najkrótsza droga. Jechaliśmy do momentu, kiedy usłyszałem krzyk. Poleciłem się zatrzymać. Krzyk trudny do określenia dał się słyszeć ponownie, dobiegał zza wysokiego drewnianego płotu, gdzie w głębi placu porośniętego zielskiem rysowało się zabudowanie. Udaliśmy się w tamtą stronę. Po odnalezieniu wyłamanych desek w płocie podsunęliśmy się do baraku. W pierwszym momencie wydawało się, że mamy tu do czynienia z porachunkami odchyleńców, które nie należały w tej dzielnicy do rzadkości. Słowa, które usłyszeliśmy zza drzwi, potwierdzały przypuszczenie, że będziemy świadkami sceny zazdrości. Weszliśmy do środka z bronią gotową do interwencji. Najpierw sierżant kopnął w drzwi, które, co pamiętam, nie były zamknięte na klucz. Nie było prawie nic widać. Przez stalową rurę sączyła się z nie

dokręconego kranu woda. Cała reszta wyposażenia wnętrza baraku, jak: przykryte kocem legowisko, maszynka elektryczna, zapasy spożywcze, dotarła do nas potem, ponieważ w słupie światła, które dawała latarka sierżanta, przedstawił się naszym oczom obraz nieczęsty nawet dla wieloletniego i rutynowanego pracownika policji (dziewiętnaście lat służby). Poznałem GO od razu – był przymocowany do krzyżujących się na ścianie belek, podtrzymujących dach, za pomocą żelaznego łańcucha. Twarz zabrudzoną miał krwią wydobywającą się z pokaleczonego przez kolczasty drut czoła, co tworzyło imitację prawdziwych wydarzeń znanych z religii.

Wyglądało na to, że jedyną osobą żyjącą w baraku jest ON, ale latarka sierżanta natrafiła na drugiego. Oparty o ścianę, trzymał w ręku żelazny łańcuch i nie reagował na nasze wejście. Sierżant, nie mogąc się opanować, co w tej sytuacji wydaje się zrozumiałe, pomimo że sprzeczne z zasadami, trzasnął go pięścią w twarz. Upadł sztywno z otwartymi oczami, nie otwierając nawet ust, których rozcięcie sierżant spowodował. Musiałem go powstrzymać, bo zamierzał kopać tego człowieka, sprawiając także przez chwilę wrażenie zamroczonego. Zdjął hełm z głowy, powtarzając „sukinsynie”. Po sprawdzeniu, że mężczyzna nie ma broni, kierowca z drugim policjantem zajęli się odplątywaniem JEGO. Najgorzej szło z drutem na czole. Był przytomny, zgodnie z regulaminem zadałem MU przepisowe pytania, chociaż obecny byłem przy przesłuchiwaniu GO przez szefa policji. Nie uzyskałem odpowiedzi. Natomiast ten drugi, przy którym także nie znaleziono żadnych dokumentów, nawet prawa jazdy, zaczął mówić.

Sierżant włączył magnetofon. NIM zajmował się kierowca, który przeszedł przeszkolenie sanitarne. Czekaliśmy, żeby odzyskał trochę siły i żeby można GO ruszyć, bo na razie stracił przytomność.

Odtworzone z taśmy magnetofonowej fragmenty zeznania zatrzymanego w baraku mężczyzny, brak stałego miejsca zamieszkania, imię, nazwisko nieznane, wiek 20-21 lat.

Nic nie powie. Też chciałem z NIM gadać. Dowiedzieć się coś. Nie chciałem GO zabić teraz. Chciałem wcześniej. Jak tylko pokazał się w mieście. Widziałem ten wjazd. Ten cały cyrk. Miałem GO na muszce. Nie strzeliłem. Chciałem coś sprawdzić. Dowiedzieć się. Tak jak wy, tyle że dla siebie. Tak jest. Wiecie co? Chciałem, żeby to był ON. Głupie, nie? To ja strzelałem. No i jak. I wtedy trzy dni temu, i zabiłem waszego gliniarza i jednego z tych szczeniaków. Tak, jak otoczyliście ten blok, w którym się zamknął. Ci JEGO agitatorzy przytaskali druty kolczaste, zabarykadowali drzwi i okna. Wtedyście przyjechali. Namawialiście przez dzień i noc do wyjścia. Jak rany, dzień i noc. Mieliście cierpliwość cholerną. Ja też. Dostałem się do środka przed wami. Później też miałem cierpliwość. Przez cały czas naszego spaceru, który się tu skończył. Myślę, że nie wierzyłem ani przez chwilę, że jest NIM. Widziałem z bliska ten niby cud. Na samym początku, zaraz jak dostałem się za nimi do tego domu. Przeszliśmy przez garaż. Inne drzwi były zabite. ON w tym garażu usiadł. Stałem ściśnięty w tłumie. Śmierdziałem razem z nimi. Obrzydzenie brało patrzeć na nich wszystkich. Palili konopie, rzygali na siebie. Część rozlazła się po bloku i porozkładała na ziemi. Czekali nie wiadomo na co, a ja z nimi. Wgapiałem się w NIEGO. Chwilę to wyglądało, jakby na mnie patrzył. W tym tłoku i smrodzie poczułem się obrzydliwie. Już się bałem, że dostanę ataku. Trzasnąłem się parę razy w pysk. To czasem pomagało. Teraz też. Zobaczyłem ją. No tę swoją sukę. Patrzyła MU w twarz. Wyglądała wstrętnie. Przytuliła głowę do JEGO dłoni. Łasiła się. Oni pili i czekali. Patrzyli i czekali. Mieli tego czasu. ON coś zaczął mruzczyć i kołysać się. To mogła być modlitwa. Wyglądało, że się nie skończy. Taki trans, nie? Ale ona podniosła łeb, leżała na ziemi i podniosła łeb, i wychrypiła coś. Wrzasnęła to samo głośniej: „Wina nie mają”, i się zrobiło cicho. Wszyscy się patrzyli. Żył jej wystąpiły na twarz. Nadeła się. Wyglądało, że zacznie rodzić. Skoczyła do czerwonej

beczki przeciwpożarowej z wodą. Na tej beczce był napis „Feuer”. Deptała po leżących. Wsadziła łeb do beczki i wrzasnęła „wino!” Chłęptała jak spragniony kundel. Lało się jej po pysku. Wtedy się zaczęło na dobre. Wszyscy zaczęli wrzeszczeć, przepychać się. Ci, co się dobili, też wrzeszczeli „wino!”. Nie mogłem się tam dostać. Ci dookoła już się czuli święci. Skurwysyny. Wrzask był taki, prawdę mówiąc, nie wiem, czy sam się z nimi nie darłem. Tłoczyli mnie w kąt, odpychałem się od ściany, zdzierałem skórę z rąk. Nie mogłem się przedostać. Nie widziałem nic, bo przypchnęli mnie twarzą do betonu. Jak się odwróciłem, nie mogłem GO zobaczyć. Było luźniej, bo część polazła za nim. Przeszedłem przez leżących na ziemi. Wlokłem się korytarzem, przepychałem się, przechodziłem przez tych, co leżeli. Nie było GO. Na jednym piętrze, zanim się cofnąłem, ona przycisnęła się do mnie mocno i czułem, jak wbija się we mnie ten brzuch. Przyciskała mnie, wyglądało, że brzuch się powiększa. Myślałem, że się wyrzygam. Zaczęła głaskać mnie po twarzy, mówiła pieszczotliwie. Naraz odsunęła się. „Po coś to przyniósł?” Poczula broń pod płaszczem. Sprytnie mnie w macierzyńskim uścisku zrewidowała. Można się śmiać z mojej szmatławej czułości. Mamrotała, że GO nie dostanę. Wczepiła się we mnie, biła pięściami wrzeszcząc, że TEN przyszedł, żeby ją ocalić. Rzuciłem ją pod ścianę, zaczęła prawie wyc „morderca!” Usłyszałem ruch na korytarzu i prysnąłem. Ona drapała paznokciami ścianę. Zwijąła się w ataku. No, dzięki niej znałem to dobrze. To była jedyna rzecz, jaką mi podarowała.

W dużym pokoju rozstawili pod ścianą zbity z kawałków tamtej beczki krzyż. Kołysali się na podłodze. Powtarzali za jednym: „TY jesteś życiem, TY jesteś wiarą, TY jesteś nadzieją. TY jesteś miłością, TY jesteś dobrocią.” I takie inne kawałki. Część miała w rękę kawałki beczki. Zagłuszali gliniarskie komunikaty. Dobrze się wymęczyłem, łażąc po piętrach. Na samej górze, w pustym pokoju, zobaczyłem GO, kulącego się przy ścianie. Klęczał bez koszuli. Całe plecy miał poorane pręgami. Musiał niezłe oberwać. Coś mamrotał. Wyglądało, że się boi. Może waszych komunikatów, gliniarze.

Rozpiąłem płaszcz, wyciągnąłem karabin i skręciłem go. Musiał widzieć, jak wchodziłem, ale nie odwracał się. Powiedział: „Jesteś. To ty strzelałeś do ludzi.” To wcale nie było pytanie. Tym już mnie zaskoczył. Ale w końcu coś musiał mieć w sobie, że tyle narozrabiał. „Chcesz wiedzieć po co?” Pokręcił głową. A ja miałem smak potu w ustach. „Z nienawiści. Strzelasz z nienawiści.” „A TY? A TY myślisz, że tylko z miłości można zabijać.” „Nie chcę zabijać.” A ja, że będzie musiał. Podniosłem karabin wycelowany w NIEGO. Jak już mówiłem, nie chciałem GO wtedy zabić. A zaraz potem wcisnąłem MU karabin do ręki, bo przez to, przez celownik, wszystko wygląda inaczej. I to trzeba wiedzieć, żeby coś rozumieć. Podniósł broń. Myślałem, że wystrzeli. Potem oddał mi broń. „No to czego chcesz? Czego się tu pętasz? Po co ci te wszystkie kawały?” Wyglądało na to, że czuje do mnie wstręt. Ucieszyłem się, że się mnie brzydzi. Powiedziałem, że się mnie brzydzi. „Potrzebujesz mnie” – powiedział. Ale mnie błysnęło coś w głowie. Że to ON mnie potrzebuje. „Myślę nawet, że wiem, o co Ci chodzi” – powiedziałem. Podniosłem karabin do oka i strzeliłem. Na dole upadł jeden z tych, co w NIEGO wierzyli. Strzeliłem drugi raz. To były dobre strzały. Wywalił się gliniarz, trafiony chyba w brzuch. Poleciał na druty kolczaste.

W tym miejscu nastąpiły zakłócenia, gdyż kierowca rzucił się na zeznającego, ponieważ był przyjacielem zabitego policjanta.

„Morderco” – tak powiedział: „Morderco.” Dobra. Zrobiłem to dla NIEGO i powtórzyłem MU to. Stać mnie jeszcze na taki prezent. „Przestań zalewać, bo wiesz, że zrobiłem to, czego nie chciałeś zrobić. Nie? Pewnie się bałeś?” Wcisnąłem MU w rękę karabin. Żebyście widzieli JEGO minę. Wtedy wyście zaczęli strzelać. Seriami z pistoletu maszynowego. Potrzaskał się tynk nad naszymi głowami. Poderwał się. Wyszedł na taras. Patrzyłem, jak

podnosi broń. Wydawało się, że zacznie strzelać. Ale tylko podniósł ręce do góry. Przestaliście strzelać. Kiedy schodził na dół, krzyknąłem za NIM „morderca!” JEGO ludzie chcieli GO zatrzymać. Taki osiłek o wyglądzie boksera objął GO w pasie. Odepchnął GO. Doszedł do drutów, które wasi ludzie rozcinali. Karabin miał nad głową. Gliniarze podeszli blisko. JEGO ludzie podlecieli z prętami z żelaza. Ale to już był koniec. Bo ON ich zatrzymał. Widziałem, jak otoczyliście GO, skuli. Chciał spojrzeć w górę, na mnie, ale dostał pałą w łeb. Wepchnęli GO do radiowozu. Równocześnie inni oczyszczali teren budynku. Myślałem, że zrobiłem MU cholerny prezent...

Tutaj skończyła się taśma i powstała konieczność wymiany jej, co zrobiono, jednak ten człowiek nie przestał mówić i cały fragment został w związku z tym niestety nie utrwalony. Był to czasokres od momentu aresztowania JEGO aż do oczekiwania przed pałacym wydawcy, czyli do słów: „Nic się nie dziwił.” Ten fragment utracony nie wydawał mi się zresztą wyjątkowo istotny, dotyczył mniej ważnych z mojego punktu widzenia szczegółów JEGO wydostania się z bloku, udania się pod Komendę Policji w celu kontynuowania obserwacji oraz dalszego tropienia samochodu wydawcy aż do momentu właśnie oczekiwania w ogrodzie.

W tym miejscu postanowiłem jednak w celu wywołania pewnej chronologii zamieścić fragmenty raportu porucznika W.K.M., który, jak wiadomo, zginął tragicznie następnego dnia rano w okolicznościach w moim mocnym przeświadczeniu nie wyjaśnionych, a który będąc zatrudniony jako fotoreporter w najpoważniejszym dzienniku, uczestniczył w przyjęciu w pałacyku tego prasowego potentata i od pierwszej chwili obserwował rozwój wydarzeń. W celu przypomnienia dodaję, że są to zdarzenia rozgrywające się 19 września. Po dwóch dniach przetrzymywania GO w celi.

Fragment raportu porucznika W.K.M., dotyczący odnośnego momentu wydarzeń, od słów „Siedzieliśmy w samochodzie” do „Zaczęły palić się meble” (s. 4 – 7).

Siedzieliśmy w samochodzie dobre pół godziny, zanim wreszcie otworzyły się drzwi i zobaczyliśmy szarpiącego się, czepiającego drzwi człowieka, który wyraźnie upodobał sobie mieszkanie w areszcie, i trzeba było wcale dużego wysiłku, żeby zachęcić go do zmiany planów. Co najzabawniejsze, ani ja, ani kierowca Rolls-Royce'a, który wyglądał jak jego właściciel i siedział przy mnie jak nadęta żaba, nie spodziewaliśmy się, że to ON, dopóki nie sturlał się z tych schodów, i wtedy nagle zobaczyłem, że to jest nasz pacjent. Kierowca zorientował się dopiero wtedy, wyskoczył z samochodu, otworzył drzwiczki i kłaniając się zaprosił GO do środka; recytował tekst „Witaj Panie”, którego nauczone go w pałacyku, co robił z tak wyraźną niechęcią, że o mało się nie roześmiałem. Ale ON usiadł z tyłu, na tej ogromnej kanapie, na której zmieściłoby się sześciu takich jak ON, siedział jak manekin, nie zadawał żadnych pytań i patrzył przed siebie wzrokiem stałego bywalca barów w momencie zamykania lokalu.

Obserwowałem GO w lusterku przez dłuższą chwilę, w jednym z tych dziesięciu chyba lusterek, które nie wiadomo po co zainstalowano w tym wozie, i przysięgam, że miałem taki moment, że ta twarz wydała mi się okropnie znajoma. Nie chodzi mi oczywiście o to podobieństwo, z którego wynikła cała sprawa, ale w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, co to by mogło być. Czasem zatrząskuje mi się takie okienko i nie daję rady, ale byłbym przysięgł, że ja tego człowieka gdzieś widziałem. Otworzono nam bramę, przejechaliśmy przez ogrodzony jak bunkier ogród, w którym sterczał pośrodku, moim zdaniem przypominający kaktus, ten przeszklony pałacyk. ON wysiadł, a ja trzasnąłem z flesza pierwsze zdjęcie. Równocześnie otworzyły się drzwi, którymi mógłby wjechać czołg, o

nic nie zawadzając, i stanął w nich jeden z sekretarzy tego wydawcy, prezesa i jeszcze diabli wiedzą kogo, uklonił się nam, wymówił to samo powitanie i z piekielnie obojętną twarzą szedł przed nami przez ten hall wyglądający jak muzeum, potem rozsunął drzwi i weszliśmy do głównego salonu, gdzie odbywało się coś między bankietem, naradą a popołudniem w burdelu. Sporo osób drzemało, wyciągnąwszy się na fotelach, kanapach i jeszcze cholera wie na czym. Oparłem aparat na marmurowym postumencie i trzasnąłem kilka zdjęć, żeby ożywić nastrój. Równocześnie z głębi salonu wynurzył się z dymu cygar gospodarz, wyglądający trochę jak tęgawa kobieta. Parę osób podniosło się, dwaj faceci, którzy poza mną dopuszczeni zostali na to przyjęcie, obaj zresztą z jego gazet, zaczęli też trzaskać. Wokół nas zebrało się kilkanaście osób, wszystko twarze, z których najbiedniejsza warta była parę setek tysięcy, a ta uśmiechnięta chłopo-baba podeszła do NIEGO, stojącego ciągle sztywno z wzrokiem wbitym nie wiadomo gdzie i wyglądającego tutaj, jakby rzeczywiście spadł z nieba, ze słowami: „Jak to miło, że pan już jest.” Objął GO, uśmiechnął się znowu telewizyjnie, co było sygnałem dla nas, więc kamery zaczęły trzaskać, i podnosząc głos oświadczył: „Mam zaszczyt przedstawić bohatera ostatnich wydarzeń. Oto Syn Człowieczy, którego pamiątniki będę wydawał. Uwięziony przez żołdaków Piłata, został za kaucją wypuszczony z więzienia i oto jest wśród swoich.” Po czym zwracając się do NIEGO zadeklamował uroczyście: „TY będziesz tworzył nowy ład, a ja stworzę CIEBIE.” Parę osób zaczęło bić brawo, jakaś kobieta wybuchnęła śmiechem, a inna, ubrana tak, że podjąłbym się rozebrać ją jednym palcem, szybciej, niż zapala się papierosa, i muszę przyznać, że zrobiłbym to z cholerną przyjemnością, powiedziała: „Jest bardzo piękny”, głosem stuprocentowej nimfomanki. Ktoś z boku dodał, że ich nie odróżnia, a młody, w białym smokingu, mruknął „hołota”. Potem gospodarz rozejrzał się i ściągnął ze śpiącego na tapczanie faceta z branży filmowej, który był mężem nimfomanki, purpurowy płaszcz i narzucił MU na ramiona. Spośród flaszek wyciągnął koronę, włożył MU ją na głowę i uśmiechając się porozumiewawczo powiedział: „Proszę się nie obawiać, ona jest z plastyku.” Znowu zakręcił się, zaklął i spytał, czy ktoś nie brał trzciny. Jego sekretarze zaczęli krzątać się nerwowo po sali, a mężczyzna o szczupłej twarzy w srebrnych binoklach z grubymi szklami, który leżał do tej pory na skórzanym kanapie, pieszcząc włosy śpiącej obok ślicznej młodej cioty, wzruszył ramionami, powtarzając kilkakrotnie: „Bez sensu, bez sensu, bez sensu!” Wydawca rozłożył zabawnie ręce i oświadczył: „Przykro mi z powodu tej trzciny. Ja także przywiązuję się do symboli. W końcu robimy w podobnym fachu. Obaj tworzymy coś z niczego. Dla innych. Ale nie wolno nam zapominać o sobie” – zakończył sentencjonalnie. Popchnął GO w stronę fotela rzeczywiście przypominającego tron. Sam opuścił się na podobny obok. Brakowało jeszcze tylko trzeciego i można by ich zdjęcie dać na okładkę satyrycznego pisma z najlepszymi życzeniami Nowego Roku. Krążyłem obok, raczej słuchając niż robiąc zdjęcia, bo miałem już tej zabawy trochę dosyć. Rozglądałem się po salonie szukając tamtej nimfomanki, byłem gotów na wypadek, gdyby się źle poczuła, odprowadzić ją do domu. Jednak wyglądało na to, że wszyscy czuli się dobrze poza mną, ponieważ ciągle męczyło mnie, skąd znam twarz tego człowieka. Tymczasem tamci dwaj na „tronach” prowadzili rozmowę, to znaczy monologował wydawca, od czasu do czasu stawiając pytania, ale zdaje się, że nie bardzo liczył na odpowiedź, a nawet sprawiał wrażenie, jak gdyby nie był jej szczególnie ciekaw. Obaj trzymali w rękach szklanki z whisky, ja zbliżyłem się także, dołąłem im, usiadłem na dywanie opierając się o jakąś cholerną roślinę, której kolce kłuły mnie w plecy, i słuchałem, jak tamten mówił do NIEGO, że wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać, że to był wielki pomysł – ludzie chcą dowiedzieć się o NIM wszystkiego: kim jest, co im obiecuje, skąd pochodzi i tak dalej, i tak dalej, i że kupuje od NIEGO prawo wyłączności na druk pamiątników – tu wymienił cenę, łagodnie mówiąc, zachęcającą – i kiwnął ręką na siedzącą w pobliżu kobietę, która od dłuższego czasu, szczerząc długie zęby i wypinając niemłody dekolt, starała się wtrącić do

rozmowy. Zaczęła tak samo idiotycznie, jak wyglądała, z tym płaskim odkrytym dekoltem i siwymi, wysoko upiętymi włosami. Zapytała GO mianowicie, czy widział jej ostatnią sztukę *Sny o krwi*, czego. ON jakby nie słyszał, co uważam zresztą za wyjątkowo taktowną reakcję, ponieważ sztuczylła tej pani napelniają mnie szczerym przerażeniem. „A właśnie – powiedział wydawca. – Przedstawiam panu – to jest Łukasz, najostrzejszy. Są tu też inni, których pan powoła: Mateusz, Marek i Jan. Oni odwalili za pana główną robotę. Cały czas przeszły ma pan już załatwiony” – uśmiechnął się porozumiewawczo i dodał: „No, prawdę mówiąc, przyszły też. Oczywiście poprawki będziemy nanosić w trakcie tworzenia przez pana nowej historii, ale może spodoba się to panu i nie będzie pan chciał dużo zmieniać.” Zachęcił GO do picia, a tamten ciągle milczał, także kiedy ta kobieta-Łukasz zapytała, czy jest homoseksualistą. A wydawca odchylając się na tronie zachichotał cienko, otarł krople potu z białej twarzy i znowu zaczął mówić. „Niech się pan nie gniewa, że zaangażowałem kobietę, ale ona jest dobra, jest bardzo dobra. Ludzie lubią ją czytać. Pan jest bardzo atrakcyjny dla kobiet. Przydałoby się także coś w rodzaju żeńskiego dla mężczyzn. Ale mniejsza z tym. Wybrałem ją i trzech świetnych facetów, każdy napisał swoją wersję pana pamiętników, zamknąłem je i może pan sobie wybrać. Prawdę mówiąc, różnice nie są bardzo wielkie, bo pisali według ścisłych wskazówek, no i licząc się z tym, co ludzie chcieliby przeczytać. Ale są różnice w ujęciu pewnych spraw, no i różnice temperamentu.” „Czy pan jest homoseksualistą?” – powtórzyła znowu tamta, szczerząc psie zęby, na to tamten w grubych szklach, pieszcząc ciągle włosy tej pięknej śpiącej cioty, powiedział „nonsens”, napił się ze szklanki i dodał: „ON jest ponad płciami. Jego Androgyne realizuje się w sferze metafizyki.” Przyjrzał MU się uważnie i dodał: „Budzi pan we mnie wstręt. Nie znoszę szalbierzy. Żałuję, że dałem się w to wszystko wciągnąć. Ohyda.” Biała twarz uśmiechnęła się trochę szerzej, pochylając się konfidencjonalnie w JEGO stronę, „On jest uczciwy i niezależny, dlatego jest taki drogi – wyjaśnił. – Liczą się z nim. No i ten temat ma rzeczywiście w małym palcu. Obudźcie Jana.” Ktoś spróbował podnieść głowę młodego faceta, ale równie dobrze można by było namawiać konia, żeby przemówił. Więc gospodarz rozłożył ręce mówiąc, że nic się nie da zrobić, a Mateusz wyszedł znacznie wcześniej. Dodał jeszcze, że Jan należy do zbuntowanych i niektórzy lubią go czytać, a wynajął go na wszelki wypadek..

Moja nimfomanka zmierzała w naszą stronę posuwając się ruchem dryfującego żaglowca. Była tak sympatycznie upita, że mógłbym dokładnie wymienić, co piła, aby osiągnąć tak przyjemny nastrój. Zakotwiczyła się przy wydawcy, ziewnęła przejmująco i przeciągnęła się w sposób, który mnie otrzeźwił. „Słuchaj – uśmiechnęła się do niego – czy twój gość nic nie wykona? Obiecywałeś jakieś cuda.” „Słusznie, słusznie – dorzucił ktoś z boku mógłby coś zrobić. Byłem parę dni temu w lokalu, gdzie facet wszedł do butelki – do tej pory nie wiem, jak to zrobił.” Chłopo-baba z tronu patrzyła na NIEGO wyczekująco. „No, co Ty na to? Nie chcę CIĘ do niczego namawiać...” Jakaś luksusowa dama, mająca na sobie dwa razy więcej rzeczy niż nimfomanka, co nie znaczy, że nie zostałaby natychmiast zatrzymana na ulicy za obrazę moralności, opuściła się na kolana, zawołała „cudu!”, wyciągnęła do NIEGO ręce i uznawszy to za świetny dowcip, wybuchnęła śmiechem. Sporo osób zaczęło się z tego idiotyzmu śmiać, co oznaczało, że dama była ważną osobą.

„Niech wskrzesi twojego męża” – powiedział do nimfomanki ten wredny przystojniak w białym smokingu i objął ją w taki sposób, że powinien dostać w pysk i mnie powinno się powierzyć wykonanie tego zadania. „Cudu!” – powtarzała ciągle dama na klęczkach, przerywając to co jakiś czas wybuchami śmiechu, przypominającego dźwięk, jaki wydaje odkorkowywana butelka. Tymczasem wredniak wziął nimfomanke za rękę, przeszedł przez salon i zniknęli za jakimiś drzwiami. W tym momencie straciłem ochotę do życia, zresztą większość obecnych tu osób straciła ją już dawno, więc poczułem się bliźnim.

Zainteresowanie NIM trochę słabło, a ten drugi król, biała mordą, także wyglądał na trochę rozczarowanego, pewno liczył na silniejsze przeżycia. Zresztą się nie zawiódł, o czym będzie za chwilę, ale na razie oświadczył tylko: „Umowę możemy podpisać zaraz, potem zapozna się pan z tekstami. Na razie niech się pan czuje jak u siebie w domu.” Podniósł się z fotela i stracił zainteresowanie dla całej sprawy. ON podniósł się także i ruszył w stronę wychodzącego na ogród tarasu. Przez uchylone drzwi wszedł do ogrodu. Kiedy zatrzymał się tam, oświetlony z tyłu, jego sylwetka znowu wydała mi się cholernie znajoma.

Teraz jednak rozpoczęły się atrakcje, które wymarzył sobie gospodarz, a mianowicie mąż nimfomanki obudził się z krzykiem, wykonał rękami znak krzyża, przewracając przy tym, bo zamach wziął potężny, kandelabr naszpikowany płonącymi świecami. Firanki zaczęły się palić – takie rzeczy zawsze palą się dobrze – a ja pomyślałem, patrząc na drzwi, za którymi zniknęła nimfomanka z tamtym przystojniakiem, że jest sprawiedliwość boska.

Zamieszanie zrobiło się potężne. Firanki opadły na ziemię, zaczęły palić się meble. Odtworzony z drugiej taśmy ciąg dalszy zeznań zatrzymanego w baraku mężczyzny, brak stałego miejsca zamieszkania, imię i nazwisko nieznane, od słów „Nic się nie zdziwił” do słów „Nie wiem.”

Nic się nie zdziwił. W ogrodzie podszedłem do rozgiętych krat. Przez nie przedtem tu wlałem i czekałem. Już jasne było, że idzie za mną. Nie musiałem się oglądać. A ten dom się palił bardzo dobrze. Pozrzuciłem z NIEGO płaszcz i koronę. Na ulicy, jak na razie, nikogo nie było. „Ładnie podpaliłeś firanki. To umiesz ładnie. Reszta ci kiepsko wychodzi.” Zagdakał, że ofiara musi się spełnić. Już miałem dosyć tego pieprzenia. Ale trudno. Zaczął dochodzić hałas. Sklepy cwaniacy bali się otwierać. Przeleciała grupa z krzyżem. Mieli się do czego spieszyć. ON się na nich nie patrzył, tamci na NIEGO też nie. Przejechały samochody policji. Zanim skapowałem, co jest, znaleźliśmy się w niezłym burdelu. Ktoś darł się jak na wiecu. Ale to było przedstawienie. Jeden aktor przebrany za NIEGO, drugi za Piłata. Pierwszy się pyta drugiego, czy jest żydowskim królem, a drugi, czy sam to wie, czy mu to inni powiedzieli. Niezła szopa, tego brakowało, nie? Przepychanka coraz cięższa. I dusiłem się z gorąca. Gadali o napadach na sklepy i zniszczeniu fabryk. Głośnik wydzierał się: „Módlcie się za spotwarzających.” Przepychały się stare baby z kościelną chorągwią. Dalej to już regularny wiec. Jeden wrzeszczał: „Nie możemy iść z NIM, bo głosi przestarzałe religijne poglądy!” Drugi na to: „Najważniejsze, że jeszcze gorszymi wrogami są ci, co są przeciw NIEMU.” „Jak zostaną zwyciężeni wrogowie z bronią, pozostaną wrogowie bez broni, ale oni też są wrogami” – znowu pierwszy. Ładowałem łokciami. To była pieprzona zabawa. Złodzieje mieli dobry dzień. Gadali o robotnikach, że się ruszyli. Przez radio podawano przesłuchania ludzi, co zdemolowali fabrykę. Mówili, że ON im kazał, że działali jak w natchnieniu. Ładny numer! Najlepsze, że JEGO nikt nie poznawał. Zapomnieli o NIM czy jak? Przepychaliśmy się przez tłum. Nie mogłem już skapować, o co chodzi. Władowali się w park. Tak samo gorąco jak w mieście. Pod drzewem wywrócił się. Ja obok. To trochę trwało. Pewnie spałem.

Po zachodzie nie było nic chłodniej. Ciągnąłem GO do tej knajpy. Wyglądało, że się kończy, myślałem, że z głodu. Weszliśmy od tyłu na mniejszą salę. Facet, który wpuszcza, poznał mnie. Tu się nic nie zmienia. Trochę facetów siedziało na podłodze. Dostarczałem tu kiedyś towar: hasz, konopie. Przeszliśmy do sali oficjalnej – to przejście było dobrze schowane. Od światła bolały oczy. Oparłem GO o stół. Nie było dużo ludzi. Otworzyłem MU usta i wlałem trochę wina. Zmuszałem, żeby jadł. Nie wiem, jak znalazło się koło nas paru facetów, tych, co wjechali z NIM na początku do miasta. Nie widać było po nich, żeby się cieszyli. Jakby trochę żalu mieli, że ich w to władował. Pieprzyli o bijatykach, starciach z glinami – oni się do tego nie rwali, ale ich cały tłum zapchał. Kiepsko wyglądali, jak na

świętych odnowicieli. Nie widać było, żeby GO słuchali, kiedy zaczął mówić, że ofiara musi się spełnić. Ten świat musi się zapalić. Namawiał, żeby byli cierpliwi, to ON to za nich załatwi. Ale jednak jeszcze trochę muszą MU dopomóc. Tylko jeden osiłek oświadczył, że trzyma z NIM do końca. Z taką twarzą nie miał dużo do stracenia. Jednego z nich gliny zatrzymały za zamordowanie paru facetów. Ten osiłek mruknął, że jak im będzie potrzebne, to GO zmuszą, żeby się przyznał. Tak czy tak dostanie czapę.

Zobaczyłem ją. Poznałem najpierw po śmiechu. Siedziała z dwoma facetami. Wyglądali, tak jak powinni. Solidne świnię. Wstała. Jeden z nich chciał ją złapać, ale się wyrwała. Zagapiona w NIEGO laźła jak kaczka, chlupiąc po tej cholerniej wodzie. ON się ucieszył. Namawiali się. Ona nie chciała czegoś zrobić. Kazał jej. „Jak mnie kochasz, zrób to” – tak usłyszałem. Odeszła. „Jest tu ktoś, kto mnie wyda – powiedział. – Niedługo już spełni się ofiara.” „Który to? – zawołał ten byczek. Pokaż go!” Reszty to w ogóle nie obeszło. Kilku się pożegnało. Szedłem za nią. Włazła za kotarę. Wrzuciła monetę do automatu telefonicznego. Ten numer akurat znam dobrze. Usłyszałem parę razy, że „jest tu na pewno”. Odwiesiła słuchawkę. Trafiła na zepsuty automat, bo się sypnęły monety. Wzięła je ze śmiechem. Przeszła obok. Nie poznała mnie. Ale ci dwaj faceci nie zapomnieli, po co z nią przyszli. Jeden złapał ją za rękę, szarpnął na krzesło. Na widok jej głupiej miny przypalił jej rękę papierosem. Roześmiała się. Tak się zdziwił, że ją puścił. Ten osiłek drzemał, reszta się rozeszła, szarpnąłem GO do drzwi. Wywlokłem na ulicę. Trochę próbował się opierać. Odeszliśmy już daleko, kiedy przed tą knajpą zaparkował wasz wóz.

Wlokłem GO z coraz mniejszą nadzieją, ale wiedziałem, że się GO muszę trzymać. Tak jak ON mnie. W baraku nocowałem często. W poprzednim miejscu szukali mnie. Sutenerstwo i takie różne sprawy. Wepchnąłem GO, byłem cholernie wymęczony. ON wyrzucił się na łóżko. Odpoczywałem obok. Od upału miałem mokrą koszulę. Jednak sprawę trzeba doprowadzić do końca. Znowu długo trwało, zanim się podniosłem. W ogóle nie miałem sił. Dałem MU wodę. Wypił. Kopnąłem GO w twarz. Jednak się poruszył. Przewlokłem MU łańcuch pod ramionami, zawisłem na nim. Podjechał trochę w górę na skrzyżowane belki. Zaplątałem łańcuch z tyłu i miałem GO na własność. Z pozycji mógł być zadowolony. Nie odpocząłem sobie. ON otworzył oczy. Powiedziałem, że spotkałem dzisiaj matkę. Kiwnął głową, że wie. Jest kurwą, powiedziałem. A ON chyba wie dlaczego. W ogóle musi dużo wiedzieć, musi być strasznie mądry, bo chce odkupić świat. To niech mówi, dlaczego zabijam. Chyba to umie, nie? Może nie umie, może GO nie nauczył ten, co GO wynajął. Żeby coś powiedział, pewno bym GO przestał łać. Albo żeby zamknął oczy. Ale nie. Przeciągnąłem GO tym łańcuchem, darłem się, że przez NIEGO zabijałem. Że jest mordercą. Że przez NIEGO będę zabijał. Że GO zmuszę do mówienia. Albo wyrwę MU ten jęzor z pyska. Temu mądrymu pieprzonemu pedałowi. Otworzył usta i powiedział „bracie”. Dobrze, nie? „Bracie.” Zacząłem GO znowu łać. Co się dalej działo, nie wiem. Przyznaję się, że chciałem GO zabić. Kto strzelał? Ja strzelałem. Dlaczego strzelałem? Bo chciałem. Dlaczego chciałem? Nie wiem. Kto jest winien? Ja jestem. Kto jeszcze? Nie wiem. Kto wie? Nikt nie wie. Dlaczego? Nie wiem. Dlaczego się boję? Nie wiem. Co będzie ze mną? Nie wiem.

W tym momencie praktycznie nastąpił koniec nagrania. Zatrzymany wydawał wprawdzie nieartykułowane odgłosy, których już jednak nie przytaczam, ponieważ nie dostrzegłem w nich żadnej logiki. Wywrócił się na ziemię w takim ataku, o jakim uprzednio wspominał – należy przypuszczać, że był to atak choroby epileptycznej. Sierżant skuł go w tym stanie z kilku powodów: po pierwsze – ponieważ według naszej wiedzy z tego zakresu żelazo przynosi dobry rezultat w tej chorobie, po drugie – aby zmniejszyć mu możliwość rozbijania się po ziemi, po trzecie – aby tym łatwiej odtransportować go po odzyskaniu przytomności. Nagrywanie tego zajęło bardzo małą ilość czasu, a teraz oczekiwaliśmy jedynie na koniec

ataku, aby wyruszyć do samochodu zaparkowanego, jak wspomniałem wyżej, w pewnej odległości. Przewidywania nasze okazały się słuszne. Mianowicie zatrzymany wkrótce się uspokoił i wyruszyliśmy, taszcząc ich obu w kierunku samochodu. Kiedy ukazaliśmy się już na ulicy, odgłosy, które od pewnego czasu niepokoiły nas, ujawniły swoje źródło. Z zakrętu wynurzył się tłum, wypełniając całą jezdnię, a także oba chodniki. Część ludzi niosła krzyże w różnych kolorach, wykonane z drzewa. Na nasz widok jakby przyspieszyli, a z przodu, jezdnią, przed wszystkimi, zataczała się ta prostytutka w ciąży, którą rozpoznałem nawet z dużej odległości. Pokazywała nas palcami, krzycząc coś, jednak ogólny hałas zagłuszał słowa. Do samochodu mieliśmy jeszcze dobrych kilkadziesiąt metrów i stało się dla mnie rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że z obciążeniem w postaci dwóch mężczyzn nie będziemy w stanie zdążyć do niego, uruchomić go i na czas odjechać. W tej sytuacji wydałem polecenie wycofywania się w stronę baraku, póki ostatecznie nie będę miał pewności co do intencji, z jakimi nosili się ci ludzie. Sam zatrzymałem się, wydobyłem broń, postanawiając w każdym razie zapewnić moim ludziom bezpieczne dotarcie do baraku. Tłum wydawał okrzyki, w których można już było odróżnić słowa: „Oddajcie nam GO” czy też „Wydajcie nam GO.” Takie okrzyki, moim zdaniem, mieszały się ze sobą, jak się później okazało, po prostu były takie i takie. Oddałem dwa strzały w górę, aby powstrzymać pęd tłumu, jednak ludzie prowadzeni przez tę sukę, wyjąca „tajniak, zdrajca”, zbliżali się z tą samą szybkością, jakby zdawali sobie sprawę, że sam nie będę w stanie ich zatrzymać. I rzeczywiście, moje upieranie się w tej sytuacji byłoby niczym innym jak dobrowolnym samobójstwem. Widząc, że moi ludzie osiągnęli już barak, wycofałem się bardzo zaniepokojony o dalszy rozwój wypadków, bo tłum sprawiał wrażenie fanatycznego i gotowego postawić na swoim, a obecność tej kobiety na przedzie nie wróżyła nic dobrego. Wśród okrzyków, jakie wymieniłem, zastanawiając się, jak się mam zachować, wycofałem się do baraku, widząc jeszcze niszczenie naszego samochodu, który w sensie dosłownym został wywrócony, a następnie splaszczony przy pomocy uderzeń krzyżami i licznymi transparentami, głoszącymi sprzeczne hasła.

W baraku poleciłem natychmiast jednemu z policjantów, który posiadał krótkofalówkę, na szczęście, zgodnie z regulaminem, przy sobie, a nie pozostawioną w samochodzie, aby nawiązał kontakt z centralą w celu uzyskania pomocy. Tymczasem poleciłem zabarykadować drzwi, a obaj mężczyźni umieszczeni zostali za naszymi plecami w wybetonowanej części baraku. Nie potrzebuję dodawać, że moi ludzie byli co najmniej w tym samym stopniu zaniepokojeni co ja. Wprawdzie kiedy wydałem polecenie przygotowania broni, wykonali je, jednak z wyraźną niepewnością i niechęcią. Przez długi czas nie mogliśmy uzyskać połączenia z Komendą Główną, tymczasem tłum rozlewał się dookoła, wyginały się deski pod naporem ludzi. Wśród narastającego wrzasku nie bardzo mogliśmy się nawzajem usłyszeć. Wystrzeliłem parę razy w górę – trochę się uciszyło – i zacząłem krzyczeć, że chcę porozmawiać. Wtedy właśnie dostaliśmy połączenie i czekając na odpowiedź, jak mamy się zachować w tej sytuacji, podjąłem postanowienie, aby w miarę możliwości zyskać na czasie, i wyszedłem przed barak z tym młodym chłopakiem, któremu wyraźnie broń trzęsła się w rękę. Rzeczywiście, tłum otaczający nas wywoływał wrażenie niebezpieczeństwa. Podniosłem rękę – powoli robiło się cicho. Widziałem twarze zarośnięte i inne – wyglądało na to, że znalazł się tutaj cały tłum spod Parlamentu. To mogło być parę tysięcy osób. Zapytałem: „Czego chcecie?”, i usłyszałem okrzyki: „Wydajcie!” i „Oddajcie!” Krzyczeli długo, dobrą minutę – obliczałem z satysfakcją, oczekując wyjaśnienia sytuacji z KG. Kiedy już trochę przycichło, oświadczyłem, że w imieniu prawa wzywam ich do rozejścia się i że mam obowiązek odstawić GO do Komendy. Równocześnie zagroziłem konsekwencjami, jakie mogą wynikać z ich braku odpowiedzialności, nawoływałem do zdrowego rozsądku. Powiedziałem, żeby się przez chwilę wstrzymali, i wróciłem do baraku. Tłum za drzwiami

czekał w milczeniu, a to było jeszcze bardziej męczące niż wrzask, do którego się przyzwyczaiłem. Tymczasem mogłem już wykonać polecenie, które otrzymałem, a które brzmiało: „Natychmiast GO wypuścić! Nie prowokować starcia!” Popatrzyłem na NIEGO, wyglądał spokojnie. Nie wiedziałem, co ci ludzie chcą z NIM zrobić, kazałem na wszelki wypadek nadać wiadomość, że nie mogę przyjąć odpowiedzialności za JEGO bezpieczeństwo. Tymczasem tłum zaczął się już niepokoić, po ścianach barak u dudniły kamienie. Zrozumiałem, że tak czy inaczej trzeba GO im oddać, i wtedy otrzymałem osobisty rozkaz Szefa, aby za wszelką cenę GO ratować i obronić, oraz wiadomość, że posiłki są już w drodze. Ściany baraku zaczęły pękać, miażdżone uderzeniami grubych kijów. Wysunąłem przez dziurę w ścianie białą chustkę, wyszedłem ciągnąc za sobą tego drugiego, powiedziałem, że to morderca, że zabił jednego z nich i mogę go im wydać. Oświadczyli, że chcą JEGO. Dostałem kamieniem w głowę, krew zalała mi twarz, wystrzeliłem w powietrze, a wtedy oni zaczęli już zapalać kawałki desek. Zrozumiałem, że spalą nas w tym baraku jak szczury, podniosłem obie ręce i krzyknąłem, że zgadzam się, żeby poczekać. Cofnąłem się do baraku i powiedziałem do NIEGO, że boję się, że nic się nie da zrobić i musi dać im iść. Dodałem, że nie mogę MU pomóc, ale oni chyba nic MU nie zrobią. Mówiłem to bez przekonania i czułem się niedobrze, najbardziej od czasu kiedy pełniłem służbę w policji. Ktoś rzucił zapaloną pochodnię przez wybity w ścianie otwór, w baraku pojawił się ogień, który sierżant zdeptał. Krew spływała mi na oczy i przestałem w ogóle widzieć. Nasłuchiwałem, czy nie słychać sygnałów naszych samochodów. Sierżant podprowadził mnie do kranu, puściłem strumień wody zmywając sobie krew z twarzy i rąk. Odwróciłem się, zobaczyłem, że ON ma twarz sprawiającą wrażenie zadowolonej, pomyślałem, że świat urządony jest obrzydliwie, machnąłem ręką, żeby GO wypuścić, i powiedziałem do NIEGO, że chyba nie ma do mnie żalu. ON wyszedł przed barak, ciągle wyglądał na człowieka, który spodziewa się najlepszego. Za NIM podniósł się ten drugi, którego w międzyczasie poleciłem rozkuć, aby mógł chociaż posiadać swobodę ruchów w sytuacji, w której ja mu bezpieczeństwa nie byłem w stanie zagwarantować, i on wyszedł za NIM. Otrzymaliśmy wtedy kolejny komunikat szefa policji, żeby GO w żadnym wypadku nie wypuszczać, jeżeli tłum ma wrogie zamiary, ale sytuacja była taka, że mogliśmy dostać jeszcze z dziesięć innych rozkazów, z których niestety ani jeden nie mógł zostać wykonany. Podszedłem do drzwi baraku, starając się zapanować nad bólem głowy, uszkodzonej uderzeniem kamienia. Zanim straciłem przytomność, zobaczyłem, jak oni obaj zostali wciągnięci do środka tłumy. Upadłem na ziemię, właśnie kiedy rozpoczęła się ta dwudniowa ulewa, w której rozgrywało się zakończenie znane mi wyłącznie z meldunków. Myślę, że deszcz w poważnym stopniu przyczynił się do takiego przebiegu wypadków. W każdym razie tłum, nie kierowany, jak to zawsze bywa, kiedy nie ma wyraźnego przywódcy, zdradzał się z różnymi niejednorodnymi poglądami na to, co robić dalej. Składała się na to także obecność sprzecznych stronnictw, z których część, podjudzana przez tę prostytutkę, uznała GO za zdrajcę i agenta policji, bo to za jej przyczyną tłum ścigał GO początkowo z zamiarem wykonania zemsty.

W natłoku wydarzeń i wobec coraz silniejszego deszczu tłum rozchodził się, przy czym, według relacji jednego z przesłuchiwanym potem, ta prostytutka ocaliła GO od śmierci, wykrzykując w pewnej chwili, że nie jest agentem policji i że ona kłamała. To ostatecznie przyczyniło się do wypuszczenia GO i uratowało przed śmiercią, kto we, czy nie na krzyżu, bo krzyży tam było dużo. Faktem jest, że mogło przyczynić się to do śmierci tej prostytutki, którą znaleziono martwą, a także śmierci tego mordercy, który poszedł za NIM. Ich zabicie było wynikiem zemsty fanatyków. Zresztą kilku z nich zatrzymano i, jak słyszałem, jeden przyznał się do zbrodni mówiąc, że mścił się za JEGO zdradę. Kończąc swój raport zamierzam raz jeszcze prosić o usprawiedliwienie moich poczynań. Muszę dodać, że przed

zmianą rządu, która obecnie nastąpiła, w związku ze źle zorganizowanym przekazem informacji nie miałem jasnego rozeznania w sytuacji. Nie rozumiałem wielu decyzji, jak również nie otrzymywałem ścisłych instrukcji. Rozkazy byłego szefa policji, a obecnego szefa rządu, docierały do mnie zniekształcone i w nieprecyzyjnej formie, czego starałem się w moim raporcie dać dowody, jak również wyjaśnić, dlaczego musiałem wydać GO tłumowi, czego zresztą jedynym wynikiem był fakt, że o NIM zaginął wszelki śluch, jak również usprawiedliwiałem swoją służbową gorliwością poszukiwania, czynione mimo braku rozkazu w tej sprawie. Składając w tym miejscu wyrazy pełnego uznania dla zdecydowanego przywrócenia spokoju, którego dokonał były szef policji, a obecny szef rządu, zwracam się z prośbą o umożliwienie mi pozostania nadal w mojej pracy, powołując się na dziesięć lat nienagannej opinii.

Z-ca d-cy 16 posterunku
ppor. R.N.S.

Na temat tej sprawy, w której śledztwo prowadzili przedstawiciele nowej władzy, są jeszcze inne wersje. W każdym razie wydaje się nie ulegać wątpliwości, że nowemu rządowi udało się w pełni zlikwidować napiętą sytuację, opanować liberalizujące i lewicujące elementy i odzyskać zaufanie kapitału z Południowej Strefy. Cała historia wyszła więc w sumie państwu na dobre. Opanowanie chaosu i rządu mocnej ręki wyprowadziły kraj na drogę prosperity. Procesy i surowe wyroki na oskarżonych o sianie zamętu, a także egzekucje skazanych za morderstwa rzuciły cień strachu na wichrzycieli, usuwając jednocześnie z życia lojalnych obywateli element niepewności i chaosu. Zreorganizowano także policję. Przeciw oficerowi, którego raport został tu przytoczony, wszczęto śledztwo w związku z samowolnym podejmowaniem decyzji. Zeznania jego zresztą roją się od nielogiczności. Nie wiadomo czemu szukał tego człowieka, skoro był ON zwolniony za kaucją, a meldunek wydawcy o JEGO zaginięciu jeszcze nie nadszedł. Zresztą wątpliwości budzi jeszcze wiele innych spraw. Pojawiły się zupełnie odmienne relacje z przebiegu i zakończenia tamtej sprawy. Według jednej z nich tego człowieka wydano tłumowi, który uprzednio podburzony przez prostytutkę (oświadczyła, że jest ON agentem policji i prowokatorem), zawłókł GO na pobliskie usypisko śmieci. Skatowano GO i wraz z tym drugim, obu martwych, przybito do krzyży. Otóż wtedy właśnie prostytutka zaczęła wyć, że skłamała, a ON był niewinny. Rozhisteryzowany tłum rzucił się na nią, lecz wtedy zaczęła nagle rodzić, otoczona ludźmi, którzy teraz zamilkli i w ciszy, tak silnej jak poprzedni krzyk, czekali. A kiedy to się stało, ocknęli się z odrętwienia, tłum znów rzucił się na nią i obok tamtych krzyży pojawił się trzeci. Potężniejsza ulewa rozproszyła tłum, ludzie ślizgając się i tratując na tych śmieciach ruszyli na dół. Ktoś miał wziąć na ręce to niemowlę. Niektórzy mówią, że zrobił to właśnie szef policji, który wtedy dotarł na miejsce. Wiatr przechodził w huragan, deszcz padał tak ostry, że uderzenia kropel raniły twarz. W godzinę później to usypisko śmieci przestało istnieć, a ciała tych trojga nie odnaleziono.

Według innej wersji, kiedy ta kobieta zaczęła krzyczeć, że ON nie jest agentem, że to wszystko wymyśliła, tłum porzucił GO, a ON, patrząc na nią z nienawiścią, miał powiedzieć, że GO zdradziła, że właśnie teraz GO zdradziła. I w potężniejszej ulewie biegł za rozchodzącym się tłumem, próbował dogonić tych ludzi, doprowadzić do własnej egzekucji. Wtedy rozległy się dwa strzały: pierwszy rzucił tę prostytutkę na ziemię – to strzelał tamten morderca, który w chwilę później strzelił sobie w usta. Wtedy ON padł na ziemię i zaczął płakać, a to podmywane deszczem usypisko ruszało się pod nim, jak robaczywe, aż wreszcie wchłonęło GO zupełnie. Mówiono także o cudzie, że w miejscu, gdzie ON zniknął, pojawiła się kobieta w ciąży, że ON schronił się do jej brzucha, uważając, że czas JEGO przybycia jeszcze nie nadszedł.

Inni twierdzą, że zapytano GO, czego właściwie chce od nich, co mają robić dalej. A kiedy zaczął mówić znów niejasno i bełkotliwie, opuścili GO, popędzani deszczem, i został sam z tą kobietą prostytutką, jedyną, która wierzyła w NIEGO do końca – ale ta wiara była dla NIEGO bezużyteczna. Odeszli razem i podobno mieszkają gdzieś w Mieście. Ona urodziła dziecko, ON zajął się nim, po czym wróciła znów na ulicę i z tego żyją. Natomiast nie zastrzelono nikogo, a tylko uduszono jakąś kobietę, biegnący tłum stratował ją, lecz był to zwykły przypadek.

Nawiasem mówiąc, w wyznaniu prostytutki, że ON jest agentem, w czym na ogół widzi się tylko próbę oskarżenia GO przez zemstę czy z nienawiści, a kto wie, czy nie sprowokowaną właśnie przez NIEGO, są pewne elementy godne uwagi. Myślę tu o sprawie, o której wspomina się zresztą w raporcie, to jest o śmierci porucznika W.K.M., który relacjonował przyjęcie u wydawcy i zginął następnie w okolicznościach nie wyjaśnionych do końca. Poświęcił mu piękne przemówienie szef policji, zastanawiając się nad tą tragiczną, niepotrzebną śmiercią.

Otóż podobno on wreszcie rozpoznał tego człowieka. Przypomniawszy sobie, że uczestniczył w śledztwie, mniej więcej pół roku temu, kiedy to udało się rozbić grupę anarchistów, która od dłuższego czasu dokonywała zamachów terrorystycznych na członków rządu. W końcu schwytano jednego z nich, młodego chłopaka, któremu organizacja poleciła wykonanie wyroku, a on, może ze strachu, może z niezręczności, zachowywał się tak ostentacyjnie, że zwrócił uwagę policji. Śledztwem zainteresował się obecny szef rządu, pełniący wtedy funkcję szefa policji. Ten zatrzymany młody chłopak był oczywiście długo przesłuchiwany i podobno niestety w niezbyt zgodny z prawem sposób. Trud jednak opłacił się, bo w końcu zaczął mówić. Dzięki jego informacjom otoczono dom w trakcie zebrania całej grupy. Kiedy policja wezwała ich do wyjścia, zaczęli strzelać, ale po pewnym czasie strzały ucichły. Policja dostała się do środka i stwierdziła, że oni popełnili zbiorowe samobójstwo. Była wśród nich młoda, ładna dziewczyna, podobno to była dziewczyna tego chłopaka. Ona też nie żyła. Tamtego chłopca wkrótce potem zwolniono i podobno porucznik W.K.M. poznał, że to był ON. Może ON odczuwał potrzebę ekspiacji i chciał odkupić tamtą zdradę, zrobić to, czego bał się uczynić wtedy.

Podobno porucznik W.K.M. po przyjęciu u wydawcy przypomniał sobie tamtą sprawę. Złożył meldunek szefowi policji, który nie poznał w NIM dotąd tamtego chłopaka. Porucznik otrzymał jednak polecenie zgłoszenia się do Komendy Głównej z materiałami tamtej sprawy. Po drodze zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Wpadł pod pędzący z wielką szybkością samochód i poniósł śmierć na miejscu. Samochodu nie zdołano zatrzymać, a teczka z dokumentami gdzieś przepadła i właściwie nie można już było niczego udowodnić.

Przeciwnicy polityczni szefa, których także i w samej Komendzie Głównej do niedawna nie brakowało, kolportowali informacje, jakoby szef poznał GO od razu, ale nie zdradził się z tym. Poleciał GO wypuścić, ponieważ człowiek, który niesie zamęt, był mu potrzebny do zrealizowania planów politycznych. Podważenia zaufania do ówczesnego rządu i umożliwienia dojścia do władzy nowego rządu silnej ręki. Na pierwszą wiadomość o pojawieniu się JEGO miał powiedzieć: „Niech będzie pochwalony, któryś GO przysłał.” Rzekomo celowo paraliżował on akcję policji, co więcej, jego ludzie podsycali nienawiść tłumy, prowokując ludzi do niszczenia, zwłaszcza fabryk należących do przedstawicieli kapitału ze Strefy Południowej. Każdy dzień zamętu miał działać na jego korzyść i nie na rękę mu była JEGO przedwczesna demistyfikacja. Podejrzewano nawet, że ów nieszczęśliwy wypadek nastąpił z jego polecenia, a teczka, z dokumentami została przechwycona i zniszczona.

Byli też tacy, którzy uważali tego człowieka, podobnie jak tego drugiego i prostytutkę, od początku za agentów szefa policji, a pomysł JEGO wjazdu do miasta za starannie

przygotowaną inscenizację. To wszystko nie ma zresztą na razie większego znaczenia. Oficjalna wersja tych wydarzeń jest dopiero przez nasz wydział przygotowywana i po zaakceptowaniu przez obecnego szefa rządu zostanie podana do wiadomości publicznej.

Wydział
Dokumentacji Historycznej

Paradis

Chmury na niebie nabierały coraz czerwieńszej barwy. Zachodzące słońce zniknęło ostatecznie za domami, ale plac zalany był ciągle różową poświatą. Może to zachód słońca, a może inny niż zwykle wygląd Włosiaka sprawił, że zerwałem się z fotela i wybiegłem z domu.

Przed domem skłoniłem się dozorczy. Kiwnął głową, niedbale unosząc rękę. Od niego dowiedziałem się, kim jest Włosiak, w istocie jednak wszystko zaczęło się od podszeptów filozofa. To on stale zarzucał mi brak trzeciego, a nawet czwartego metafizycznego wymiaru we wszystkim, co piszę, brak prób poznania tego, co niepoznawalne.

Z tej inspiracji narodził się Włosiak. Zresztą zapewne zwróciłem na niego uwagę wcześniej, obserwując przez okno, jak znika codziennie o tej samej porze w drzwiach lokalu „Pod Szewczykiem”. Raz, gdy po wyjściu z restauracji zatrzymał się, spojrzał w niebo i – byłem tego prawie pewien – zapłakał, jak echo zabrzmiał gdzieś blisko szept filozofa: „Ecce homo. Człowiek z krwi i kości.” Wtedy zdecydowałem się działać.

Włosiak dawno już zniknął w środku, kiedy zatrzymałem się przed progiem lokalu drugiej kategorii sanitarnej „Pod Szewczykiem”. Już chciałem nacisnąć klamkę, gdy nagle poczułem, że coś jest nie w porządku. Zesztywniałem na moment z wyciągniętą do przodu ręką. Potem przyszły mrówki, które rozbiegły się po plecach – i wszystko ustąpiło. Chciałem zawrócić, lecz wtedy właśnie otworzyły się drzwi. Zawirowały dookoła poderwane z ziemi liście i nagły przeciąg czy też podmuch wiatru pchnął mnie do przodu. Drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem.

Schyliłem głowę, aby nie zaplątać się w zwisający koniec rybackiej sieci, którą udekorowano sufit. Łeb dzika kołysał się wysoko, mrugając przemyślnie wmontowanymi w miejscu oczu kolorowymi żaróweczkami. Z dołu patrzyła na mnie zapłakana twarz mężczyzny, obok kelner zastygły bez ruchu. Srebrzysty ekspres przecinała błękitna wstęga papieru, na której ktoś pięknie wykaligrafował: „Ekspres chwilowo nieczynny, za napar kawy odpowiada brygada.”

Zatrzymałem się dopiero przy toaletach, męska była pusta. Czekałem kilkanaście minut, licząc, że Włosiak pomylił kabiny. Na próżno. Ściągnąłem tylko na siebie nieżyczliwe spojrzenie kluskowatej kobiety, czuwającej w pustej szatni. Zagadnąłem ją o Włosiaka. Zakołysała przecząco głową, a ruch ten ogarnął resztę ciała, upodabniając ją do ludowych rosyjskich lalek ozdabiających salony Nowego Jorku i Bukaresztu. Spróbowałem raz jeszcze: lat czterdzieści, ubrany w czarny garnitur, białą koszulę, oczy niebieskie, włosy jasne, uczesane w fale, porusza się energicznie, opuchnięty. Wańka-wstańka zakołysała się, wyrzuciła z siebie z trudem:

- Poszedł po papier toaletowy do kierownika.
- A kierownik?
- Na zapleczu.

Skręciłem w oświetlony jedną żarówką korytarz. Przesuwając się obok spiętrzonych skrzynek zauważyłem, że część korytarza odcięta była pomalowanym w czerwono-białe paski stojakiem, które spotyka się na ulicy przy pracach drogowych. Z dala dochodziło brzęczenie talerzy. Ogarnięty bezsensowną ciekawością, wychyliłem się i zajrzałem za stojak. Zobaczyłem okrągły otwór, chciałem się cofnąć, ale straciłem równowagę. Pod stopami zamajaczyła czarna dziura, pomyślałem, że lepiej skoczyć niż spaść, i skoczyłem.

Wysokość musiała być spora, padając na ziemię poczułem silny ból w stopach i kolanach. Spojrzałem w górę, ale nie zobaczyłem światła. Krzyknąłem na próbę. Echo, jękliwie podchwytyjąc okrzyk, zapowiadało długi, powykręcany tunel. Dłońmi namacałem starannie ułożoną, nadzwyczaj gładką kostkę. Jakby ułożoną z drobnych kafelków. Podniosłem się. Powietrze było suche i nieoczekiwanie świeże. Chłodne, gładkie ściany niczym nie przypominały śliskich wodociągowo-kanalizacyjnych połączeń.

Wtem w oddali błysnęło światełko, błysnęło i zgasło. Ruszyłem w tamtą stronę. Tunel powoli wznosił się. Szedłem najwyżej minutę, kiedy znów przede mną z mroku wybłysnął płomyk. Usłyszałem miarowy odgłos kroków. I naraz tuż przed sobą zobaczyłem siną, ogromną twarz, unoszącą się w powietrzu. Jednocześnie poczułem przyspieszone sapanie. Krzyknąłem. Twarz zgasła w mroku. Pozostało sapanie. Wstrzymałem oddech. Sapanie ucichło. Znów błysnęła światełko i znów zobaczyłem twarz tym razem trwało to dłużej. Przyjrzałem się jej odważnie: była to twarz Włosiaka.

– Ecce Włosiak – odetchnąłem z ulgą. – To pan!
– Kto? Ja?
– Pan Włosiak...
– Nie nazywam się Włosiak.
– Jak to?
– Jak mówię, że nie, to nie. Włosiak przyszedł później.
– A wcześniej?
– Urodziłem się. Na wsi.
– No to co z tego?
– Jak na wsi jest słabe dziecko, to się je oddaje do krawca, ponieważ nie przynosi ono pożytku w gospodarstwie. Tak się odbyło ze mną.

– To pan szyje?
– To pan nie wie?
– Niby skąd?
– No tak, pewnie. – I zaraz zaniósł się cały szlochem.
Musiał być w strasznym stanie nerwów. Ponieważ nie mógł się sam opanować, spytałem:
– Czy na długo starczy panu gazu?
– Nie. – Momentalnie zgasił zapalniczkę. Czerwone koła rozproszyły się i postać Włosiaka wstąpiła w ciemność. Cichł w sobie z wolna, aż uspokoił się zupełnie. Spróbowałem ostrożnie:

– Czy pan tutaj często zagląda?
– Gdzie? – odpowiedział niemrawo z mroku.
– Noo....
– Ee...
– A w którą stronę pan idzie? – zapytałem.
Włosiak zapewne ręką wskazał kierunek, lecz gest ten nie miał szczególnego znaczenia, ponieważ roztopił się w ciemnościach.
– Można się przyłączyć?
– A ma pan coś do picia? O Jezu, jak bym się napił – jęknął i ruszył do przodu.

Z trudem nadażalem za nim powtarzając sobie, że muszę przekroczyć granicę między zapisem rzeczywistości a artystyczną fikcją.

Nagle potknąłem się o coś, w ostatniej chwili złapałem Włosiaka za rękę. To coś z chrzęstem potoczyło się po ziemi.

– Czekał pan – chwycił mnie za ramię Włosiak – może to flaszka. Mam w kieszeni otwieracz.

Błysnęła zapalniczka. W zielonkawym świetle płomyka patrzyła na nas pustymi oczodołami czaszka. Poczulem nieprzyjemny chłód. Pochyliłem się nad nią, ale krawiec mruknął obojętnie:

– Zostaw pan. Niech odpoczywa w spokoju.

– Czyje to może być? – zapytałem.

– A niby po czym chce pan to poznać? W każdym razie ludzka. Może ofiara gangu albo ktoś, kto pobłądził. Czekał pan – zbliżył się do ściany. – Tu coś jest napisane.

– Rzeczywiście. – Namazane czarną farbą biegły wzdłuż ściany tunelu nierówne litery: „Tutaj stał na warcie Antoni W. i było mu bardzo smutno. 1 równa się 90.”

– Cholera wie – burknął Włosiak, zatrzymał się i dodał: – Czy my na pewno idziemy w dobrą stronę?

– Ta pan nie wie? – krzyknąłem. – Gdzie mnie pan ciągnie?

– A co można wiedzieć w życiu. Mnie na przykład matka zawiozła do tego krawca w mieście. On się nazywał Jan Zamojko. Jaś wołali na niego znajomi oraz żona, kobieta ładna, gruba, na potężnych nogach. Ale najbardziej widoczne w niej były piersi – ogromne, które nosiła przed sobą jak plecak. I oczy, które się często paliły. A nieraz zdarzało mi się na nie patrzeć. Jaś – mówiła na niego, a on był ślepo posłuszny. Za to na nas prychał złością co chwila. Ale rączki miał sprawne, chociaż cienkie, był w ogóle taki suchy, że jak się schylał, to wyglądało, że się złamie. Jego żona, Tak się potem zgadaliśmy, pochodziła z moich stron, też ją przywiózł ze wsi.

– Duża była to wieś?

– Pan ciekawy?

– Przy rozmowie nie dłuży się tak droga. Nawet pod górę.

Szliśmy przed siebie. Po jakimś czasie zacząłem tracić oddech. Uczepiłem się Włosiaka i potknąłem się znowu.

– Flaszka?

W świetle zapalniczki ukazał się zardzewiały hełm. To wyjaśniało sprawę czaszki.

– Poniemiecki – zgodził się Włosiak. Musiał się tu zapędzić w walce.

Korytarz skręcił raptownie w lewo. Znacznie poprawiła się widoczność. Ściany tunelu jakby łagodnie fosforyzowały. Na jednej z nich narysowana była twarz z wąsami.

– „Hospody pomyśl” – przeczytał Włosiak. – Jest coś jeszcze: „Wymawiaj emeryt, a nie emeryta.”

Znów szliśmy pod górę.

– To musiało się tak skończyć – powiedziałem ze złością. – Przez pana. Jeżeli ktoś pije tyle co pan.

– Skąd pan wie, ile ja piję?

– Po prostu widzę. Chodzi pan stale pod moim domem, ciągnąc się do tej knajpy.

– Pan nie zna życia.

– Swoje znam. A może pan myślał o swoim?

– A pewnie. Nocowaliśmy w komórce za szafą. W dzień robiliśmy, a majstrowa siedziała w oknie i krzyczała co jakiś czas: „Chłopaki, chować się, idzie urząd!” Wtedy sypaliśmy w gruzy, bo Zamojko nas nie ubezpieczył. Gruzów wtedy nie brakowało ani strzelaniny po nocach. Myśmy wtedy nie tyle szyli, ile głównie reperowali, to znaczy oni, Zamojko i ci dwaj

wyżej kwalifikowani. Ja przez pierwszy rok spędzałem czas na kluciu czystą igłą bez nitki przydzielonego mi gałganka, aby nie zużywać bezcelowo materiału, jak również w celu uzyskania prawidłowego zginu palca. Poza tym sprzątałem, chodziłem po drzewo i inne rzeczy. Starszy z nich miał siedemnaście lat, ponury wygląd i zalecał się do niej, przynosił prezenty, a ona za to pozwalała mu kłaść ręce na tych swoich ogromnych balonach. Jednego dnia nie wrócił. Najpierw mówili, że uciekł, ale okazało się, że po prostu zginął podczas napadu rabunkowego, od kuli milicyjnego oddziału. Wtedy to dopiero dużo ludzi ginęło. Zamojko reperował, szył, pił, ale jak się upił, to pluł na Włosiaków, bo ja, jak mówiłem, Włosiak się nie nazywam, moje nazwisko brzmi inaczej.

– Od dawna pan pije? Nie wiecie się panu, co? Fach pan przecież zdobył. Wszystko pan stracił i dlatego?

– Dlaczego: stracił? Wódka nie jest znowu taka droga. Przeciwnie, zyskałem.

– Żonę pan ma?

– Nie, ale miałem.

– Umarła?

– Nie.

– A ta dziewczyna, co u pana jest?

– Nic z nią nie mam.

– Ee tam – szturchnąłem go w bok.

Teraz obaj potknęliśmy się równocześnie. Z ziemi sterczał odprysk złamanej lancy.

– To chyba ułańska – powiedziałem. – Z drugiej wojny.

– Z takimi szliśmy na czołgi – skrzywił się krawiec. – Co za życie! A majster Włosiakom wytykał wobec nas, że byli kolaborantami, a jako tacy zapłacą kiedyś za wszystko. I że on sam, Zamojko, jak tu jest żywy, ich załatwi. Na co żona tylko poruszała ramionami, co doprowadzało go do jeszcze większej wściekłości i nienawiści. A Włosiakowie panowali wtedy niepodzielnie. Następnego dnia Zamojko wylatywał przed dom, zginął się w ukłonie, wyglądało, że trzaśnie, kiedy oni przejeżdżali Jeepem z demobilu do kościoła albo raczej do tego, co z kościoła ocalało. Z przodu jechał kierowca, były wojskowy, obok siedział Witek Włosiak, upity zawsze najdroższymi wódkami i pięknie przylizany na gładko, potem stary Włosiak, ogromny, z oczami jak stal, z żoną, oraz dwie Włosiakówny, obie wystrojone pięknie, odrobione jak z pocztówek, z długimi czarnymi Warkoczami, w które powpinały kokardy w kolorze niebieskim, wyglądające jak chabry. Tak dojeżdżali do kościoła, a my przyłaziliśmy za nimi i słuchaliśmy, jak z przodu szeleszczą ukrochmalone halki Włosiakówien. Czarny garnitur Włosiaka w piękny prążek, dwurzędowy, na trzy guziki, rozszerzany, zaprasowany też na ostro, ustawiał się przy ołtarzu, my z tyłu, w bocznej nawie, Zamojko patrzył na Włosiaków, splotował, kłął i żegnał się, a jego żona szybko zasypiała.

– Tacy są ludzie, co pan chce!

– Jezus, jak ja bym się chciał napić – jęknął Włosiak.

– Niech się pan nie martwi. Na pewno stąd wyjdziemy i jeszcze dzisiaj będzie pan miał swoją setkę. Tu jest za porządnie. To miejsce jest wyraźnie zadbane, tędy muszą chodzić ludzie.

– Może tu gdzieś jest jakieś muzeum – zastanowił się Włosiak i kopnął ułańskie czako. – Też z drugiej wojny?

– Chyba tak.

– Ależ tu ułani chyba nie szarżowali.

– Cała Polska jest jak muzeum. Gdzie stąpniesz, tam historia ręką swoją z ziemi sięga, na dół ściąga.

Krawiec zmienił nogę.

– W nogę idzie się lepiej – uśmiechnąłem się.

– Właśnie. W wojsku i w mundurze. Mój teść zawsze mówił, że połowa niemieckich zwycięstw to mundury. Czy pan widział, jak oni mają uszyte mundury? To była robota i fason. Widział pan kiedy lepiej uszyte? Bo ja nie. No i dodatki. Włosiakowie zaczęli wtedy przerabiać wojskowe mundury pod angielskie battledressy, z drelichu na lato, z sukna na zimę. To się nazywało włosiakowy. Młodzi to nosili. Poza tym mieli jedwab – gdzieś pod Warszawą całe składy ocalały – jeździli do nich ubierać się nawet z nowego rządu. Ten młody, Witek Włosiak, przelatował pijany Jeepem z upitymi kobietami, miał niesławna opinię. Mieszkanie mieli, pięć pokoiów w ocalałym domu, a na bramie tablica ze złotym napisem: „Jan Włosiak, krawiec.” Jan Włosiak kupił już wtedy Cytrynę, czarną, ponemiecką, z rządowego przydziału.

Pod nogami znów coś zgrzytnęło. Tym razem nie była to czaszka, ale pusta puszka po konserwach.

– Wieprzowina mielona – przeczytał Włosiak – Luncheon meat. Spożywać na zimno. – Zajrzał do środka. – Wyjedzone do końca. – To jest bardzo zdrowe na zakąskę.

Wpadłem na dobre. Zanudzi mnie. Dałem się nabrać na ten płacz, a to po prostu pijak. Przecież bo już nawet nie jest mały realizm, tylko wycinek marginesu, płaski, jednowymiarowy. Nic się z tego gadania nie da utkać. Battledressy. Żeby Włosiak miał chociaż jakiś udział w dziejach, żeby był żołnierzem drugiej wojny. Najlepiej ułanem szarżującym na czołgi. Po klęsce mógłby się rozpić. Został krawcem, bo kiedyś szył juki. To szycie mogłoby funkcjonować jako metafora – zszywanie historii Polski albo jego psychiki podartej przez wojnę. Musi szyć, aby to w sobie wszystko uładzić. Ale wojna tkwiłaby w nim i czasem chwyta igłę jak lancę! Zabiłby tą lancą w czasie szarży Niemca i kiedy szyje, to opór igły wbijającej się w materiał kojarzy mu się z oporem lancy wchodzącej w ciało ludzkie. Wtedy zatyka uszy, rzuca igłę albo wbija ją sobie w ciało, aby oprzytomnieć. A koledzy krawcy nie mogą zrozumieć, dlatego musi pić. Chodzi z tą igłą w kłapie, szukając śladów przeszłości.

W świetle gazowego płomyka pojawiły się napisy: „1 równa się 100.” „Ścieżka zmarłych według popularnych wierzeń uralско-алтаjskich wspina się ku górze – Eliade.” „Ku pamięci: Wyznanie narratorsa-glizdy można by określić najzwyczajniej jako mdłości (Sartre) przepuszczone przez wirówkę nonsensu (Głowacki).” Anna Tatarkiewicz, „TP” nr 17/12/13/1972.

– Napiłbym się nawet jarzębiaku, chociaż jest szkodliwy. Ja tak już dłużej nie mogę.

– Może pan, bo pan żyje. Ja też żyję i jestem zadowolony.

– Po pierwsze, skąd pan na pewno wie, że ja żyję? Po drugie, co to za życie? To pytanie zadawałem sobie wcześniej, po tym, jak posuwałem się spacerem w ich okolice, ponieważ mnie ich życie porywało. Kiedyś na ulicy usłyszałem „ładny chłopak”, a to było mówione o mnie. Dorastałem widocznie, a jednocześnie od dłuższego czasu uczyłem się na własną rękę, podglądając Zamojkę, ściegu, a także fastrygi. Dopiero po pół roku pobytu otrzymałem po raz pierwszy szmatę z dziurką zrobioną i kazał mi to wydziergać. Potem, jak popatrzył, dał mi dokończyć dzierganie w grubym suknie, ale ja byłem zdolny i już w niedługim czasie z odczuciem zadowolenia, którego nie ukrywałem, dziergałem na garniturze, który potem miałem na kimś konkretnym zobaczyć. W końcu nadeszła ta chwila, klient przymierzył garnitur i kiedy zapinał guziki, łatwo przesuwając je przez moje dziurki, poczułem dziwne uczucie, które bym określił jako satysfakcję. Potem dostawałem coraz większe kawałki, obrzucałem szwy, wszywałem rękawy, miałem do tego oko, to nie ulega wątpliwości. Łaziłem pod dom Włosiaków.

Wtem Włosiak przystanął i wstrzymał oddech. Gdzieś z daleka dolatywały niewyraźne odgłosy. Sięgnął po zapalniczkę. Na ścianach pojawiły się nowe napisy: „Palenie wzbronione”, „Wymawiaj liliput, a nie leputa”, „1 równa się 120.”

– 1 równa się 120, to mógłby być aktualny kurs dolara.
– Jeżeli aktualny, to tutaj niedawno musiał ktoś być.
– Grają. A jeżeli grają, to i piją. – Ruszył biegiem przed siebie, ja za nim.
Słyszeliśmy już zupełnie wyraźnie muzykę. Na ścianie mignęły kolejne napisy: „Min niet”, „Nasz kij ma jeden koniec.” Złapałem Włosiaka za marynarkę. Szarpnął się, ale zwolnił.
– „Pod Szewczykiem” tego nigdy nie grali – szepnął. – Myślałem, żeśmy zrobili koło, ale nie. Tu w ogóle inaczej wygląda niż tam, gdzieśmy wpadli.
Istotnie, korytarz w tym miejscu był oświetlony przyćmionym światłem, którego źródło trudno było ustalić. Ściany wyłożone ceramiką noszącą ślady starannej pielęgnacji. Korytarz raz jeszcze zakręcił i rozszerzył się nieoczekiwanie. Strop podtrzymywały stylizowane kolumny. Z końca korytarza biło ostre światło.
– Chwała Bogu – zmrużyłem oczy. – No to będzie pan miał to swoje picie i można będzie odpocząć. Należy się nam.
– Zaraz – mruknął Włosiak. – Na dzieńne to nie wygląda. Poza tym teraz jest noc. To jest elektryczność.
– Niemożliwe – zawołałem.
– Nie zna się pan. Ładnie grają.
Korytarz kończył się drzwiami. Były to solidne drewniane drzwi, wzmocnione żelaznymi sztabami.
– Czy to jest lokal?
Włosiak wzruszył ramionami. Wyjął z kieszeni grzebyk i przygładził włosy.
– Jest dzwonek – pokazał ręką.
– Zaraz, zaraz – łapałem go za ramię – chce pan dzwonić? Trzeba się zastanowić.
– No a co pan ma lepszego do roboty? – zrobił parę kroków do przodu, nacisnął guzik dzwonnka.
Rozległo się długie, przenikliwe brzęczenie. Po chwili coś zachrząściło. W środku drzwi odchyliła się klapka. Czyjeś oko patrzyło przez dłuższą chwilę. Wreszcie klapka opadła, szcękniętą zamek, drzwi otworzyły się i zobaczyliśmy tego, który obserwował. Był wysoki, dobrze zbudowany, twarz miał trochę opuchniętą, może ze zmęczenia albo niewyspania, ale oczy czujne. Zwracała uwagę jego niezwykle biała cera. Jakby od dawna nie przebywał na powietrzu. Ubrany był w fioletową marynarkę ze srebrnymi galonami, słowem, wyglądał tak, jak powinien wyglądać portier nocnego lokalu kategorii specjalnej.
Postanowiłem nie odzywać się pierwszy, nie chciałem powiedzieć czegoś niewłaściwego ani ujawnić swojej niepewności. W razie czego wszystko skrupi się na Włosiaku, od którego byłem gotów odciąć się natychmiast. Czekałem więc na pierwsze słowa Włosiaka, ale on także milczał. Milczenie przeciągało się, atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Mężczyzna w fioletach patrzył na nas bez większego zainteresowania, ślizgał się oczami po moim sweterku, sztruksowych spodniach, marynarce z miękkiej skóry, przyjrzał się wygodnym, lekkim butom i jakby zamierzał się cofnąć i zamknąć drzwi. Spojrzałem rozpaczliwie na krawca i na zeszywniałych nogach ruszyłem naprzód.
– Dobry wieczór – powiedziałem. – Oto moje legitymacje. Jestem pisarzem.
Jednak właściciel połyskliwego stroju nie wydawał się tym szczególnie zainteresowany. Wprawdzie nie zamknął drzwi, ale moje wyjaśnienia pozostawiły go chłodnym. Cofnąłem się, pochyliłem głowę, gdy nagle ruszył do przodu krawiec, nachylił się ku mężczyźnie, szepnął mu coś do ucha, a w tamtym zaszła nagła zmiana: uśmiechnął się, uklonił, odsunął na bok i szeroko otwierając drzwi zaprosił do środka.
Czerwony puszysty dywan sprawiał, że poruszaliśmy się nienaturalnie cicho. Za sobą usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwi. Muzyka nagle ucichła. Znajdowaliśmy się w

ogromnym hallu, wypełnionym tak szczelnie sprzętami, że tylko przez środek prowadziła wąziutka ścieżka. Szedłem za Włosiakiem między ogromnymi starymi szafami, na których piętrzyły się podarte obrazy, secesyjne fotele z połamanymi oparciami, potężne gipsowe odlewy, żółtkłe plakaty, treści ich nie mogłem odczytać. Musieliśmy być blisko kuchni, w powietrzu unosił się zapach gotowanego mięsa. Portier gdzieś zniknął. Zatrzymaliśmy się między kamiennym posągami ze wzniesioną w górę ręką bez dłoni a ustawionymi aż po sufit splecionymi krzesłami. Obite były zielonym wytartym pluszem. Między nimi utkane były zakurzone strzępy gazet.

– Co pan mu właściwie powiedział? – ściszyłem głos do szeptu.

– Dałem mu sto złotych.

– A on?

– Wziął.

– Cholera. Zna pan ten lokal?

– Nie, ale muszą tu mieć coś do picia. Chodźmy.

Zapłataliśmy się w ciężką wiśniową kotarę. Straciłem Włosiaka z oczu i tylko falowanie materii oraz przytłumiony głos wskazywały mi ślad.

– To musi być jakiś nowy lokal z wejściem od dołu – powiedziałem, walcząc z kotarą. Duszno i pachnie jedzeniem. Swoją drogą ciekawe, że nic się nie słyszało o otwarciu.

– Albo weszliśmy od tyłu – wychylił się przede mną Włosiak.

Byliśmy na sali. Na pierwszy rzut oka wyglądało bardzo przyzwoicie. Dookoła parkietu, między marmurowymi kolumnami, ustawione były na kilku poziomach stoliki. Niemal wszystkie były zajęte. Włosiak wypatrzył mały dwuosobowy, ustawiony blisko orkiestry. Ruszyliśmy w tamtą stronę. Kiedy siadaliśmy, minął nas mężczyzna w czarnym eleganckim garniturze, dźwigający przed sobą stos brudnych naczyń.

– Halo, panie kelner – zawołał w jego stronę Włosiak.

Tamten odwrócił się i zobaczyliśmy zmęczoną twarz, pokrytą kilkudniowym zarostem. Przyjrzał się nam, po czym ruszył do kąta, przykucnął i rzucił stos talerzy na ogromną, piętrzącą się górę brudnych naczyń, rozbitych kieliszków i butelek.

– Ciekawe porządki – zauważył Włosiak.

Tamten człowiek minął nas znów, mrużąc zaczerwienione, zmęczone oczy. Odruchowo poprawił krawat, wygładził rogi przybrudzonego i zmiętego kołnierzyka białej koszuli. Z rękawa wypadła mu zwinięta serwetka. Zwróciłem mu na to uwagę, odpowiedział wścickłym spojrzeniem. Tymczasem mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku schylił się po nią, czujnie rozejrzał i schował ją do kieszeni marynarki.

– Kelner, kelner! – krzyknął Włosiak, uderzył pięścią w stół i spojrzał łapczywie na butelki zdobiące sąsiednie stoliki. – To straszna banda. Gdzie jest kierownik?

Siedzący w pobliżu szczupły mężczyzna w okularach podniósł wzrok znad książki, uśmiechnął się sympatycznie i pokiwał przecząco głową.

– Niech pan spróbuje z portierem – powiedział i znów pogрузzył się w lekturę.

Nigdy nie widziałem kogoś, kto by czytał w taki sposób. Machinalnie palcami rozczesywał włosy, z ust wyrwały mu się krótkie westchnienia, kręcił głową, chwilami zdając się przeczyć tezom autora, by zaraz potem opaść do przodu w geście pokornego oddania, jego długie palce zdawały się pieścić kartki książki. Policzki pokrywał mu kilkudniowy zarost, lecz mimo to chwilami widać było, że nagle pokrywały się purpurą, zdradzając stan emocjonalnego napięcia ich właściciela.

– Kelner, kelner! – wrzasnął jeszcze raz Włosiak i ścichł.

Kilka osób przy stolikach odwróciło się. Ktoś podawał sąsiadowi pod stolikiem jakiś zwinięty w gazetę podłużny przedmiot. Krzyk Włosiaka jakby sparaliżował ich dłonie. Znieruchomieli nie mając odwagi dokończyć swych machinacji.

Tylko kobieta towarzysząca zaczytanemu mężczyźnie obserwowała nas jakby niebezinteresownie. Przyglądałem jej się z przyjemnością. Wprawdzie jej włosy nosiły zaledwie ślady kunsztownej fryzury, ale były gęste, lśniące i opadały na ramiona oraz na opięte czarną bluzką piersi. Przygryzała zbyt duże, przesadnie umalowane wargi, które nadawały jej twarzy trochę może pospolity, ale pełen erotyzmu wyraz.

– Portier, portier! – zachrypiał Włosiak. Mężczyzna w fioletach przecisnął się przez kurtynę i omiół nas niechętnym spojrzeniem.

– Gdzie są kelnerzy?

– Mają ważniejsze sprawy.

– To ja proszę kierownika.

– Jest zajęty gdzie indziej, ale o co chodzi? Ja mogę panom podać. Tu jest karta.

Włosiak uspokoił się i zamówił śledzia w śmietanie, barszcz czerwony z uszkami, golonkę z kapustą, litr żytniej i oranżadę. Szybko uzupełniłem to prośbą o rosół z oczkami, wysmażony sznycel i melbę. Portier zniknął i zjawił się nieoczekiwanie szybko, dźwigając przed sobą tacę.

– Panie – krzyknął Włosiak – wszystko od razu? Przecież wystygnie.

– Ja nie mam czasu tu latać – powiedział rozstawiając potrawy. I już chciał się oddalić, kiedy Włosiak chytrze zamówił jeszcze pół litra. I oto siedzieliśmy już nad przyjemnie parującymi potrawami. Włosiak wypił dwie setki, odetchnął z ulgą, nappełnił szklanek oranżadą, popił, wyciągnął się na krześle i powiedział:

– Na koniec doszliśmy.

Napiłem się także. Smakowało obrzydliwie, ale po chwili poczułem się o wiele lepiej.

– Co to jest?

– „Mocna”, nowy gatunek, 50 procent.

– Czy nie uważacie, panowie, że jest tu strasznie duszno? – Kobieta przy stoliku obok uśmiechnęła się do nas przymilnie.

Włosiak nie zareagował w ogóle, a ja patrząc ukradkiem na jej towarzysza niepewnie pokiwałem głową. Przez chwilę jeszcze przyglądała się nam, po czym spuściła głowę i nappełniła kieliszek. Nalałem i sobie.

– No to mówi pan, że się pan urodził na wsi, panie Włosiak.

– Nie sądzicie, panowie, jednak, że powinno się otworzyć okna? – spytała ponownie kobieta. Jej towarzysz nadymał policzki, zajęty ostrożnym dmuchaniem, którym starał się rozdzielić dwie sklezione kartki. Włosiakowi zaszkliły się oczy.

– Rozpoczęło się to od wbitego we mnie jednej niedzieli podczas mszy spojrzenia. Dodam, że było to spojrzenie córki Włosiaka. Nie wiedziałem, że przedtem byłem również obserwowany zza firanki przez inną osobę. Obejrzałem się do tyłu w przeświadczeniu, że padam ofiarą oczywistego przywidzenia, ale to była prawda. Ona przywitała to uśmiechem, w czasie którego zabłyszczały zęby. Włosy nosiła już inaczej, bez kokardy, z przedziałkiem, krótko obcięte. Dalej były czarne jak smoła i pięknie ułożone.

– Myślę, że można by otworzyć okno – nalegała kobieta.

– Niekiedy w mieszkaniu jest chłodniej niż na zewnątrz – rzuciłem na odczepne, bojąc się, aby Włosiak zbyt się nie rozproszył.

– Ale nie w czasie upału.

– Często nawet wtedy.

– Nie, wtedy nie.

– Kiedy gorące powietrze dostanie się do środka, robi się tak duszno, że wprost nie można wytrzymać.

Włosiak przyjrzał się jej nieuważnie, nappełnił kieliszki i po chwili golonka zaczęła trzaskać w jego potężnych zębach. Między jednym kęsem a drugim opowiadał dalej.

– Wszystko to z braku śmiałości, na który cierpiałem przez całe życie. A po skończeniu mszy zdarzyła się rzecz następna. W utworzonym szpalerze kroczyli do wyjścia jak zawsze najpierw Włosiakowie i nagle, na ukłon Zamojki, Włosiak uprzejmie uśmiechnął się, nadając twarzy wyraz życzliwości. Witek spojrzał czerwonymi oczami, córka uśmiechnęła się, tylko stara Włosiakowa przeszła obojętnie, ale to i tak nie mogło zamazać tamtego uczucia. Po powrocie do domu Jan Zamojko upił się ze zdziwienia, a jego żona długo patrzyła na mnie, po czym wyczekawszy chwilę, gdy Zamojko głośno zachrapał, pociągnęła mnie za rękę, położyła się na tapczanie, podniosła suknię pod brodę, pod spodem, jak widziałem, nie nosiła niczego, i powiedziała: „Chodź tu.” Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem rozebraną od nóg do pasa kobietę. Do tej pory znałem takie sprawy jedynie z niedokładnych rysunków, wykonywanych na ścianach w ubikacjach oraz w innych miejscach, a także z jednej ponemieckiej fotografii, na której siedziała kobieta obnażona, poza kapeluszem i pończochami, oraz mężczyzna z wąsami stojący przy niej z obnażoną nagością. Teraz odniosłem oczywiście silne wrażenie, ale nie chciałbym, żeby pomyślał pan sobie o mnie jakieś głupstwo.

– No wie pan! Za kogo pan mnie ma?

– Za inteligencję.

Trąciłem się z Włosiakiem.

Nie podobał mi się. Życie błazna. Żadna historia. Typowo obyczajowa, rodzajowa historyjka. Poza wszystkim jego zawód jest niedobry. Gdyby był grabarzem! To jest zawód. Wtedy by chodził do Zamojkowej z czaszką w dłoni, ona na ten widok mdleje ze strachu, przewraca się na ziemię, a Włosiak wtedy widzi to, co wszyscy po stokroć widzieli, ale dla niego jest to olśniewająca nowość i zbyt wzruszony, aby wypuścić czaszkę z rąk, odbywa z nią akt – bo oczywiście trzeba by do tego doprowadzić. A potem błędziłby po cmentarzu. Gdyby był przedtem w wojsku, toby miał dodatkowe odniesienie. Tyle że to wszystko jeszcze nieciekawe. I nagle stało się dla mnie jasne: Włosiak musi stracić osobowość. Tylko jak?

Orkiestra zaczęła grać. Przed naszym stolikiem zatrzymał się potężnie zbudowany mężczyzna o różowiułkiej twarzy i odstających uszach. Na jego głowie kłębił się rzadki rudawy meszek.

– Czy mogę pana prosić – skłonił się przede mną.

Podziękowałem, trochę zaskoczony. Tamten nie ruszał się z miejsca.

– Dlaczego?

– Wydaje mi się to nieetyczne.

Tłusta kobieta z wysoko odsłoniętymi udami tymczasem poderwała się z krzesła, na którym tkwiła od początku, umieszczona niemal dokładnie w środku parkietu, i zaczęła wykonywać chaotyczne, gwałtowne ruchy, wprawiając swe duże obwisłe piersi w zdumiewającą wibrację. – Niby dlaczego? – powtórzył.

– No wie pan – próbowałem się wykręcić – poza tym w zasadzie niemal nie tańczę, a w żadnym razie takich szybkich melodii.

To chyba go przekonało. Ukłonił się uprzejmie i zniknął na parkiecie wśród tańczących.

– Nigdy nie należy zbyt dużo pić w czasie upału – westchnąłem skromnie.

– Po jej słowach: „Chodź tu”, nie powiem, żebym nie czuł ogromnej ochoty. Jednak powstrzymało mnie chrapanie jej męża. Wtedy podciągnęła nogi do góry, wystawiając się z całą bezwstydną, a ja stałem nie mogąc oderwać oczu, a jednocześnie z zakazem moralnym. Zacząłem więc tłumaczyć, dlaczego nie mogę tego zrobić, przy czym błyszczały mi w wyobraźni błękitne oczy Włosiakówny. Kiedy zastanawiałem się, co potem, naraz zdałem sobie sprawę, że już nie jedna, ale dwie osoby chrapią. Przyglądałem się, jak falują jej piersi, i oto przypadek mi dopomógł. Wyszedłem na ulicę. Ze świstem przeleciała Cytryna Witka Włosiaka. Zrozumiałem, że znów kroki moje mechanicznie kierują się w tamtą stronę.

Wszedłem na schody, jakbym normalnie szedł do nich coś uszyć. Ale usiadłem piętro wyżej, oczekując, że ktoś wejdzie lub wyjdzie.

– Coś takiego! – wykrzyknąłem poruszony.

– To jeszcze nic. Następnego dnia przyszedł chłopak od Włosiaka i zaprowadził mnie do niego. Przekroczyłem owe drzwi. W dwóch wielkich pokojach szyli, w trzecim kroili i prasowali.

Pięknie pachniało rozgrzanym płótnem. Pracownicy wychylali się zza podszewek, kieszeniówek, włosianek, rękawówek, prasulców, czyli klocków owalnych do wyprasowywania pierwszych miar, gitar, czyli zwięzających się desek do rozprasowywania szwów w spodniach, poduszek dużych, do prasowania całej sztuki, i poduszek małych, czyli tak zwanych serków, do wyprasowywania rękawów. W następnym pokoju, do którego uchyliły się drzwi, stał sam Włosiak. Patrzył na mnie długo, ubrany w kaftan z najlepszego drelichu zapinany na sześć guzików. Dwie ogromne kieszenie u dołu, dwie mniejsze u góry. Spod tego wystawała lśniąca koszula, spodnie w kolorze brązowym, zakończone dopasowanymi butami. Pierwszy raz oglądałem go z tak bliska i prawie bałem się na niego patrzeć. Wręczył mi z papierośnicy papierosa, którego nie zapaliłem, ponieważ nie posiadałem wtedy żadnych nałogów. Przyglądał długie włosy posrebrzane siwym kolorem, zaczesane z falami do góry, i uśmiechając się do mnie, z nieukrywaną sympatią zakomunikował, że wyglądam uczciwie i że on kogoś takiego potrzebuje do pracy. Straciłem mowę ze zdziwienia i dodałem, kiedy wreszcie głos wydobył się ze mnie, że bardzo chętnie zmienilibym pracę, ale na razie pracuję u Zamojki. Od tego momentu nie pamiętam nic, ponieważ przez pokój przeszła Włosiakówna, tak piękna, że przestałem nawet zwracać uwagę na samego Włosiaka. Zaobserwował to z uśmiechem i powiedział, abym rozmówił się z Zamojką.

Mężczyzna przy stoliku obok nie przerywając lektury napełnił sobie kieliszek, a kiedy podnosząc go do ust odchylił się do tyłu, mignęła mi okładka, a na niej tytuł *Sztuka czytania*.

Różowiutki mężczyzna ponownie skłonił się przede mną. Próbowałem protestować, ale nieoczekiwanie szarpnął mnie za rękę i pociągnął na parkiet. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Tańczyło coraz więcej par. Różowiutki tańczył dobrze, pewnie, trochę tradycyjnie, ale z dużym wyczuciem rytmu. Parę razy okrążyliśmy salę, potem przyciągnął mnie bliżej. Pachniał przyjemnie dobrą wodą kolońską, nucił graną melodię. Obejrzałem się w stronę Włosiaka i nie mogłem powstrzymać jęku, gdyż mój partner uszczypnął mnie w plecy.

– Obserwuję pana od dłuższego czasu. Proszę nie odpowiadać, możemy być podsłuchiwanymi. Jest pan nam potrzebny. Kiedy odprowadzę pana po tańcu do stolika, niech pan odczeka chwilę i pójdzie za mną. Proszę nie wspominać nikomu o naszej rozmowie, bo może pana spotkać coś naprawdę nieprzyjemnego. – Przytulił mnie mocno do piersi. Złakłem się, że kości trzasną mi od jego uścisku.

– Kim pan jest? – zapytałem szeptem.

– To w tej chwili nie ma znaczenia – zanucił pozwalając mi odetchnąć. – Jestem tu dłużej. Najważniejszą sprawą jest zorganizować się i wyjść stąd.

Perkusja robiła straszliwy hałas. Wykorzystując to spytałem:

– A czy są z tym jakieś kłopoty?

– A to niech pan spróbuje.

– Przecież nas tu w ogóle nie chcieli wpuścić – szepnąłem znikając mu pod ramieniem w skomplikowanym tanecznym przejściu.

– Tym bardziej nie zechcą wypuścić.

– Przecież to idiotyzm.

Znowu tańczyliśmy blisko siebie.

– Chce pan stąd wyjść?

– Oczywiście.

– Zresztą zaryzykujemy – różowiutki zakończył taniec brawurowym piruetem. – Niech pan pójdzie ze mną na moment do baru.

Dwaj mężczyźni w czarnych garniturach wyszli zza kotary, prowadząc pod rękę starego człowieka. Orkiestra przestała grać. Staruszek potknął się, tamci pewnie go podtrzymywali. Zza kotary wysunął się jeszcze jeden czarny garnitur, schylony pod ciężarem prostokątnej, zbitej z desek skrzyni. Z trzaskiem rzucił ją na podłogę. Wyższy mężczyzna w czerni zdjął staruszkowi marynarkę, drugi rozluźnił mu krawat. Zasłonili mu oczy czarną przepaską, ręce i nogi związali linką. Oddalili się i wrócili za moment z długą piłą. Unieśli staruszka w górę, włożyli do skrzyni. Zamknęli wieko i ceremonialnie skłonili się otaczającym parkiet stolikom. Światła przygasły. Pochylili się nad skrzynią, wykonali szybko kilkanaście ruchów, którym towarzyszył przeraźliwy zgrzyt, i z przepiłowanej skrzyni wyskoczył zreźnie młodzieniec z bukietem kwiatów. Sala zaczęła bić brawo. Czarne garnitury ukłoniły się i zniknęły.

– Co pan sądzi o tej sztuczce? – spytał różowiutki.

– To nawiązanie do mitu faustycznego. Ale co się stało ze staruszką?

– Ano właśnie.

Orkiestra zaczęła grać. Barman wprawnie manewrując flaszką napełnił kieliszki, nieznacznie wylałem zawartość mojego na podłogę. Zawsze uważałem, aby nie stracić samokontroli nawet na kameralnych bankietach, w których niekiedy uczestniczyłem, protegowany przez filozofa oddającego się z upodobaniem rozrywkom hedonistycznym. Siedząca niedaleko przy barku dziewczyna uśmiechnęła się. Jej twarz wydawała mi się znajoma. Odskłoniwszy się starałem się sobie przypomnieć, czy to nie ona brała udział w „parowozie”, „gwieździe” oraz „rudym lisie” podczas przyjęcia, na które byłem ostatnio zaproszony.

– Tu jest parę setek osób, poza personelem. Trzeba ich jakoś zintegrować, żeby stąd wyjść – usłyszałem głos różowiutkiego. Trzeba do nich jakoś dotrzeć, rozumie pan? Do tego potrzebna jest dyscyplina i siła. Nas jest już kilku.

– Jakich nas?

– Nieważne. Musimy być silni, a za siłą idzie odwaga.

– Dobry wieczór panu – przysunął się ktoś z krzesłem. Przyjrzał mi się uważnie. – Widzę, że natrafiłem na swoich. Postawicie, panowie?

– Postawimy – mruknął niechętnie różowiutki i, mrugając do mnie porozumiewawczo, powiedział jakby nigdy nic: – Chleb, który produkowaliśmy dla naszych żołnierzy, był niezmiernie smaczny i z odpowiednim procentem przypieku.

Dopiero gdy mężczyzna wypił, splunął, ukłonił się i odszedł, różowiutki wybuchnął:

– Co pan chce robić z takimi ludźmi? Co będzie, jeżeli się ich nie zorganizuje? Przecież to kompletna szmata, do niczego niezdolna, do żadnej aktywności, o ile – pochylił się nad moim uchem – nie był to oczywiście ktoś podstawiony.

– Przez kogo?

– Nie wie pan? No co, nie wie pan naprawdę?

Niestety nie wiedziałem naprawdę, więc różowiutkiego przeprosiłem i wróciłem do stolika. Włosiak nie był sam.

– Nie kupilibyście dolarów? – spytała siedząca obok niego kobieta w czarnej bluzce. Długie jasne włosy plątały się jej dookoła twarzy. Uśmiechnęła się i przechyliła w moją stronę. – Są po stówie, były po sto dwadzieścia. Jak Boga kocham, że warto. Ten facet – pokazała krawca – co za jeden?

– Niech się pani od nas odczepi – skrzywił się Włosiak.

– Dobrze! Sprzedam po dziewięćdziesiąt. Ale proszę dalej nie śrubować. Tu był kiosk dawniej i można było za nie coś kupić, ale teraz zamknęli.

– To po co nas pani mężczy?

– Mogą otworzyć, wtedy będą znów po sto dwadzieścia. Pana to znam – uśmiechnęła się do mnie dużymi murzyńskimi ustami.

– Niewykluczone.

– Właśnie – powiedział Włosiak. – W stanie powódkowym można stracić całkowicie wspomnienie. Tak miałem z żoną Zamojki, że ona wtedy nie pamiętała, jak daleko się ze mną posunęła, i nie wiedziała, czy w czasie snu została przeze mnie wykorzystana, czy nie.

– Czy pani była... – urwałem, bo jakiś straszliwie wychudzony ponury mężczyzna, ubrany w czarny, za luźny garnitur, podszedł do nas i zaraz zjawił się różowiutki.

– Korzystając z miłej okazji i czasu świąt, stanowiących pamiątkę przyjścia na świat Bogaczłowieka, pragnę złożyć państwu, jako członkom naszej parafialnej rodziny, jak najlepsze życzenia.

– Dziękuję – uśmiechnąłem się uprzejmie.

– Jednak Zamojko, kiedy powiedziałem mu o propozycji Włosiaka, rozplakał się. Więc wysłałem kartkę do Włosiaka, że zostaję.

Zobaczyłem, że różowiutki notuje coś szybko na serwetce. Tymczasem ponury mężczyzna skrzeczał dalej:

– Oby łaska oczywiście obdarzała państwa darami przyniesionymi z nieba, dającymi po stokroć zdrowie, miłość, pokój i szczęście. Nagle mrugnął porozumiewawczo, wywołując na bladej, suchej twarzy ogromny ruch: usta wykrzywiły się, nos skreślił w lewo, brew zjechała ku dołowi. Za moment wszystko wróciło do normy i nie mógłbym przysiąc, czy wszystko to nie było tworem wyobraźni. Odwróciłem się w prawo – kobiety już nie było. Spojrzałem na parkiet, ustawiono tam dwa kościotrupy. Włosiak napełnił kieliszki. Zręcznie pochylając się na stołku, wylałem zawartość swojego na puszysty dywan. Zauważyłem przy tym, że portier, który jakby się spod ziemi pojawił, stara się zza pleców różowiutkiego odczytać zanotowany na serwetce tekst.

Nieduży mężczyzna o czarnych, lśniących włosach gładko przylizanych do tyłu i sporym brzuchu stanął obok jednego ze szkieletów. W rękę trzymał pałeczkę.

– Wracając do tematu – oświadczył – jak wiemy granica pełnej sprawności fizycznej przesuwana się nieustannie wzwyż. Gary Cooper, znany amerykański kowboj filmowy, mając siedemdziesiąt lat nadal potrafił uwodzić kobiety na ekranie, cwałował konno, wskakiwał do wody, zjeżdżał na nartach, inny zaś milioner, którego nazwisko wyleciało mi z pamięci, zaślubił młodą wdowę. Albo inny, jeszcze starszy, wstąpił w jego ślady. I odwrotnie. Medycyna stanęła wobec nowych faktów.

– To oczywiście bez sensu – rzucił głośno różowiutki. – No, muszę już iść. – A po cichu dodał: – Odebrałem przed chwilą wiadomość...

– Od kogo?

– Psst – odciągnął mnie od stolika na parkiet.

– To była zaszyfrowana wiadomość. Jest to specjalny rodzaj szyfru, niektóre wyrazy czytają się do tyłu, inne normalnie, jeszcze inne co którąś literę. Widzę, że nic pan nie zauważył uśmiechnął się ironicznie. Wyciągnął serwetkę i przeczytał: – „Dającymi po stokroć zdrowie, miłość, pokój i szczęście.” Rozumie pan? – zniecierpliwiał się widząc moje zaskoczenie. – W tym zdaniu ważne jest tylko: pokój i stokroć, czyli pokój numer 100. No, ale muszę lecieć. Za godzinę spotkamy się przy WC.

Wróciłem do Włosiaka. Zapytałem go, czy zna się na szyfrach.

– Największym szyfrem jest życie. Szkoda, że pan tego nie rozumie. Na przykład taka sprawa. Ten Włosiak, do którego mnie wezwano, oświadczył, że chciał mnie wystawić na

próbę, czy jestem taki, czy inny, i w tym celu była poprzedniego dnia ta cała rozmowa. Natomiast rzecz polega na tym, że jego córka mnie kocha, i co myślę o małżeństwie. To spadło na mnie tak, że straciłem oddech. Kiedy ten stan się przeciągał, Włosiak spytał niecierpliwie, jakie jest moje zdanie. Nie mogłem w to uwierzyć, na co on, że jest to bardzo proste do sprawdzenia. Krzyknął: „Kinga!” Otworzyły się drzwi i weszła w pięknie błyszczącej czarnej taftowej sukni, na którą nałożony był sznur pereł, pomimo wczesnej pory. Właściwie to było kilka sznurów, składających się z kilku gatunków pereł, większych i mniejszych. Spojrzała na ojca, potem na mnie, uśmiechnęła się, powiedziała „dzień dobry”, straciłem głowę i pocałowałem ją w rękę, ale Włosiak zniecierpliwiony zakomunikował: „Pocałujcie się, dzieci, i gotowe”.

– To miał pan szczęście.

Przy sąsiednim stoliku od paru chwil trwała gorączkowa narada. Przeszkadzało mi to słuchać opowieści. Kobieta w czarnej bluzce nadal uśmiechała się kokieteryjnie i dawała mi znaki, zapraszając tym razem do swego stolika. Nie reagowałem.

Mężczyzna ze *Sztuką czytania* uniósł się z krzesła, niechętnie zamknął księgę i ponaglany gestami tej kobiety przystąpił do naszego stolika.

– Białe tango – skłonił się niedbale przede mną, zerkając do założonego palcami tekstu. Miałem już tego dosyć i odmówiłem w dość ostrej formie. Wzruszył ramionami. – Nie może pan odmówić kobiecie.

– Kobiecie nie, panu tak.

– To ona pana prosi.

– Przecież jest z panem – zaprotestowałem, ale tamten ani drgnął.

– Na moim ślubie – ożywił się Włosiak – wszyscy tańczyli między kelnerami. Doprowadziłem się do stanu oszołomienia alkoholem i odbyłem taniec z moją żoną, zmuszony przez sytuację.

– Szybko się pan ożenił – powiedziałem, odwracając się plecami do stojącego nadal bez ruchu mężczyzny ze *Sztuką czytania*.

– W dziesięć dni po tamtej rozmowie. Nie będę panu mówił o wszystkim, co się odbyło w największej sali Hotelu Europejskiego. To wtedy była knajpa! Wszystko można było dostać. Dziesięć gatunków sardynek, a jakie koniaki. Do tego dwie orkiestry, w tym jedna cygańska. Wysoki szarżą oficer, któremu Włosiak własnoręcznie wypikował czarny smoking białą nitką, tak że nie było nawet śladu tej nitki, wypożyczył swoich ordynansów. Obaj w galowych mundurach, stali w drzwiach i zdejmowali płaszcze z gości. Rodziny nie zapraszałem, bo matka była chora, a do reszty nie miałem serca. Przyszli przyjaciele Witka Włosiaka, którzy robili w czarnym rynku, i ci, którzy ich ścigali. W górze stołu Włosiak czynił honory na fotelu wyszabrowanym z jakiegoś pałacu. Kinga siedziała obok mnie, właściwie z nią do tej pory nie rozmawiałem, poza wymienionym spotkaniem, ponieważ szykowano jej ślubną suknię i nie miała czasu. Wysoki dygnitarz wzniósł toast za polskie rzemiosło i rozpoczęto tańce. Ja w smokingu, co go Włosiak odkupił za podwójną cenę od odpowiedzialnego urzędnika, dla którego szył. Leżał na mnie jak ułan, siedziałem jak w kinie. W kinie nigdy jeszcze nie byłem, jakkolwiek oglądałem wyświetlane na biało pomalowanej ścianie zburzonego domu fragmenty kronik związanych tematycznie z wojną. Wszyscy pili, zaczęli rozmawiać i kłócić się na tematy polityczne. Oficjalni goście twierdzili, że będzie trzecia wojna, przyjdą alianci i nas rozniosą. A kupcy, handlarze, rzemieślnicy i rzeźnicy, że jakby co, to my zwyciężymy i obronimy naszą sprawę.

Ten ze *Sztuką czytania* wciąż tkwił obok, widocznie podsłuchiwał. Szkoda, że Włosiak nie był rzeźnikiem. Mdląłby na widok krwi, na wojnie był ułanem. Zabił człowieka, a teraz zabijałby kompensacyjnie zwierzęta. I dałby w gębę facetowi od *Sztuki czytania*. Albo nawet samemu Berezie...

– Kłócili się na ten temat bardzo ostro. Jeden z gości tłumaczył, że to wszystko prowizorka, bo w innym wypadku inaczej by z nami gadali, nie byłoby żadnego tolerowania, ale ponieważ to się i tak nie utrzyma... Na co jeden prywatny rzeźnik i szabrownik oświadczył ze łzami, że to niemożliwe i że nigdy nie zgodzi się na utracenie naszych zdobyczy. Wszyscy zmarkotnieli i porozchodzili się do tańca. Nie miałem odwagi dotknąć ręki mojej żony, ozdobionej obrączką. Nie mogłem uwierzyć, że jest moją własnością, chociaż sam miałem na rękę taką samą.

– Kochał ją pan? – spytał z przejęciem mężczyzna ze *Sztuką czytania*.

– Kochałem.

Najlepiej byłoby, gdyby Włosiak był wplątany w tryby historii. Aby jego portret nabrał rangi zbiorczego portretu pokolenia. Mógłby być najpierw w Szarych Szeregach – to nawet dobrze brzmi: Włosiak z Szarych Szeregów. Mógłby się rozpić po podwójnej klęsce powstania i stracić osobowość. Trzeba mu znaleźć jakąś Arkadię – czyby nie dało się tego zrobić z szycia? Może ojciec Włosiaka w jego pogodnym dzieciństwie szył sztandary albo po prostu matka lubiła szyć. On, zarażony wojną, nie uświadamia sobie tego na początku. Trzeba tu wprowadzić na zasadzie kontrapunktu nieoczekiwane opisy domu na wsi, sadu, liryczne strumienie podświadomości. Potem okazałoby się, gdyby Włosiak odzyskał świadomość, że to był sad jego rodziców. Lepsza od sadu byłaby rzeka – piaszczyste łachy, wierzby, łagodne zakole, wcięte w knajpę, w szycie i w wojnę.

– Po tym tańcu zakręciło mi się w głowie i byłbym upadł, gdyby nie teść, który był dla mnie jak ojciec, przytulił mnie, pocałował, posadził przy stole, nalał sobie i mnie i zaczął pięknie mówić o krawiectwie. Przepowiadał, że cała Warszawa będzie leżeć przede mną na płask, że będę miał wszystko, dopiero na wściekły syk jego żony, która podeszła z ważnymi gośćmi, odsunął się ode mnie dodając, że wszyscy będą mnie niszczyć, ale on mnie obroni. I odszedł pograżając się w rozmowie i picciu. Tymczasem teściowa wzięła nas oboje, Kingę i mnie, i wyprowadziła przez boczne wyjście. Gadała przy tym do Witka, że stary nigdy się jeszcze tak daleko nie posunął, żeby wydać córkę za mąż. Na co Witek wzruszył ramionami i mruknął: „Starzeje się.” Odwieziono nas do domu i znalazłem się w pokoju z moją żoną, zupełnie nie wiedząc, jak się zachować, i żalując, że nie wykorzystałem możliwości zapoznania się z życiem płciowym, jakiej dostarczyła mi żona Zamojki. Te myśli przebiegały mi po głowie z ogromną szybkością i kiedy się tak zastanawiałem, moja żona oświadczyła, że pada ze zmęczenia, i nie zwracając żadnej uwagi na moją bliskość zaczęła pozbywać się ślubnej sukni, a następnie pięknej bielizny, kupionej na tę okazję z zachodnich paczek, koloru białego, białych pończoch, umocowanych do paska trzema przypinkami z każdej strony, następnie zdjęła biustonosz i zakołysały się dwie piękne piersi w kolorze mąki, następnie... następnie zdjęła resztę. A ja stałem i rozpiąłem marynarkę smokingową. Tymczasem ona błysnęła mi całą, skoczyła do łóżka i nakryła się z głową, w ten sposób znikając mi z oczu. Stałem bardzo zdenerwowany i z przerażeniem stwierdziłem całkowite nieistnienie męskiej potencji. W związku z tym rozbierałem się jeszcze wolniej, oczekując ciągle na znany mi dobrze stan, którego byłem świadom, ponieważ często same myśli podrywały mnie i udowadniały, że jestem nie budzącym wątpliwości mężczyzną. Położyłem się na łóżku koło niej z samego brzegu, kołowało mi się w głowie, podsunąłem się niepostrzeżenie i wreszcie przylgnąłem do niej, ciągle obserwując z rosnącym przerażeniem swój brak gotowości. Zastanawiałem się, co robić, aby uniknąć wstydu, kiedy ona odwróciła się ode mnie i w chwilę potem uderzyła mnie regularność jej oddechu, która ukazała mi prawdę o moim położeniu. Otóż i ta kobieta, podobnie jak poprzednia, pograżona była we śnie.

– Ciekawy zbieg okoliczności.

– Pan nie zna kobiet – wtrącił się tamten. – Niech pan z nią zatańczy. – Mrugnął. – Nie będzie pan żałował. Ona jest dobra.

– W jednej chwili ogarnął mnie spokój i w jednej chwili zacząłem odczuwać moją absolutną gotowość, szybko narastającą do rozmiarów trudnych do opanowania, z czego byłem dumny. Delikatnie zawołałem moją żonę, potem szturchnąłem ją, a wreszcie położyłem to na jej pośladkach, na co również nie zareagowała. Wtedy uspokojony już o przyszłość naszego małżeństwa, po daremnych próbach trafienia w nią rozpocząłem zrećnie czynność, której się pan domyśla. Po pewnym czasie nastąpiło to, co powinno nastąpić, skierowane na złożoną piżamę ze wspaniałego jedwabiu, uszytą z hitlerowskich flag, których całe mnóstwo Włosiak miał zmagazynowane. Następnie zasnąłem i obudziło mnie trzaśnięcie drzwi, w których zataczał się mój teść, krawiec Włosiak. Przyglądał się nam przez dłuższą chwilę, następnie drzwi się zamknęły.

– Gdyby pan wiedział, jak mnie kiedyś było ciężko – wtrącił się, siadając koło nas, czytelnik Berezy. Nieoczekiwanie jego szczupłymi plecami wstrząsnęły gwałtowne dreszcze.

– Za co nas to spotyka, proszę pana, za co?

Włosiak spojrział na niego tępo, a ja spytałem, czy wierzy w sens swego istnienia. Oczywiście w sens immanentny.

– Coraz częściej tak. Na początku było mi bardzo ciężko. Tutaj jestem już dziesiąty dzień. Myślałem, że nie wytrzymam, ale na szczęście znalazłem księgę. – Twarz rozjaśniła mu się. Tylko dzięki niej mogę żyć. Zrozumiałem, dlaczego cierpię, nauczyłem się kochać ludzi. Zrozumiałem sens cierpienia. Pod jej wpływem zrozumiałem, że byłem zubożony co najmniej o jedną postać szczęścia. Ja, panowie, byłem zupełnie pozbawiony przeżyć estetycznych. Na przykład w tańcu nie widziałem nic. A przecież tańczyć trzeba – i tu wymownie popatrzył na mnie.

Powiedziałem, że mimo wszystko, tańcząc z jego towarzyszką, sprawię mu przykrość.

– Naprawdę nie – zaprotestował z ożywieniem. – Nauczyłem się cenić cudzą i własną odrębność. Chętnie zostanę sam. Właśnie próbuję określić wyłącznie dla siebie i na własne ryzyko sens życia. Niech pan tańczy. Nie pożałuje pan.

Czekała już na parkiecie. Wtuliła się splatając mi ręce na szyi. Strzęp tapiru na jej głowie zasłonił mi salę. Kątem oka zauważyłem jeszcze, że mężczyzna ze *Sztuką czytania* wrócił do swego stolika i z ulgą pograżył się w lekturze. Oświetlające salę czerwone reflektory przygasały co chwila, co wywoływało wśród tańczących pewien niepokój. Nie wykorzystywali ciemności, jak to zwykle bywa w wytwornych lokalach, na próby krótkiego zbliżenia erotycznego, lecz wtedy właśnie przekazywano sobie jakieś karteczki, zawierające zapewne informacje.

– Jak to dobrze, że pan jest – szepnęła mi do ucha, wpijając się we mnie, prac całym ciałem, tak że przez chwilę poczułem nawet lekkie podniecenie. Była trochę pijana, co jakiś czas gubiła rytm. Kiedy odsunęła na moment twarz, zobaczyłem, że jej makijaż jest w strasznym stanie. Jedno oko ciągnęło się aż do włosów, drugie, zamazane, spływało na policzki. Co pewien czas potykając się szeptała mi, że od dawna czekała, aż zjawi się ktoś taki jak ja, a tu jest okropnie. Spoza bariery włosów zobaczyłem na moment, że różowitki pochyla się nad mężczyzną ze *Sztuką czytania*. Próbowałem obserwować ich dalej, ale szarpnęła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Pomyślałem, że za pół godziny muszę stawić się na zebraniu. Znaleźliśmy się w długim hallu, ona rozejrzała się i pchnęła jakieś drzwi.

Wnętrze, w którym znaleźliśmy się, robiła wrażenie pakamery. Na podłodze leżały szczątki fotela na biegunach, rozwalony zegar ścienny, połowa dzieciennych sanek, fragment szafy, stara opona do samochodu marki Trabant. Resztę wypełniało żelazne łóżko z zardzewiałymi poręczami przykryte wojskowym kocem. Ze szczątków materaca sterczało włosie.

– Właśnie na kogoś takiego jak ty czekałam od dawna. Czy podobam ci się?

Kiwnąłem ostrożnie głową, co równie dobrze oznaczać mogło potwierdzenie jak przeczenie. Usiedliśmy na łóżku – straszliwie zaskrzypiały sprężyny, zaszumiało włosie, zapadliśmy się nisko z kolanami sterczącymi w szpic powyżej głowy, w końcu sprężyny uspokoiły się. Przede wszystkim trzeba się zastanowić, kim jest ten mężczyzna ze *Sztuką czytania*. Czy przypadkiem nie należy do sprzysiężonych. W ogóle na razie nie wiadomo zbyt wiele. Ale z drugiej strony to zbliżenie może kryć w sobie pewną wartość. Sentencja filozofa głosiła, iż w sytuacji, gdy powstaje pytanie: rznąć czy nie rznąć, pada odpowiedź: zawsze rznąć. A ona była naprawdę ładna. Jak daleko zamierza się posunąć? Trzeba zachować się ostrożnie, zobaczyć, o co jej chodzi, w końcu jest tu na pewno dłużej. Musi sporo wiedzieć. No w każdym razie przytula się zupełnie wyraźnie, oddycha głośno z otwartymi ustami, co wywołuje wrażenie, że jest podniecona. Właściwie teraz nie można już zachować się inaczej niż objąć ją ramieniem, bo po prostu się ośmieszę jako mężczyzna. Dlaczego zachowuje się, jakby istotnie była podniecona? Niemniej trzeba by coś zrobić. Najrozsądniej bodaj byłoby wydostać ten sweterek spod paska i dostać się na razie do pleców. Właściwie po co się w to wszystko wciągnąłem? Co mi przyjdzie z tego opisywania Włosiaka, człowieka z krwi i kości? No, są już te plecy. Znów nie wyjdę poza realizm. Wcale nie wiadomo, czy nie lepsze było dokończenie tej historii o staruszkach, która siłą rzeczy musiała ocierać się o metafizykę. Ma fałdę na brzuchu, ale kto nie ma. Zamknięci starzy ludzie, ktoś będzie umierał, i bardzo dobrze. Teraz stanik. Zresztą dom starców to już jest metafora. Pewien znajomy ćwiczył rozpinanie stanika na krześle. Włożył w to wiele trudu. Już bez udziału kobiet przeszedł wszystkie fazy – od towarzyszącej inicjacji euforii do zubożenia. Zupełnie nie przeszkadza. We wszystko wplątały mnie podszepty filozofa. „Owszem – mawiał ukryty za obłokiem dymu zasnuwającego kawiarnię, tak że wystawały tylko pumpki i skarpety ze szkockiej wełny zręczne to wszystko, co piszesz, ale bez elementów metafizyki będzie to zbyt kruche i nie wytrzyma próby historii.” Kto wymyślił te zatrzaski! „W tym wszystkim nie ma Boga. Możesz Boga kochać albo się go bać, albo nienawidzić, ale Bóg musi być. Pisarz, mój drogi, jest zbuntowanym aniołem.” Poszedł stanik, teraz niżej. Oho, jednak pilnuje przy gumce. „Pisarz jest istotą bliską szatanowi Milтона, pokrewnemu duchem Ajschylosowskiemu tytanom!” W takim razie w stronę piersi. A wszystko, co ja piszę, jest płaskie, podpatrzone, zacytowane, podsłuchane, zewnętrzne, a nie wewnętrzne, ironiczne bez pokrycia, zobaczone, a nie przeżyte. Właściwie teraz można by się jeszcze wycofać, wyglądałoby to nawet na delikatność. Nie przepuszczone przez precyzyjnie rozstawione filtry pojęć. Też się poci. Brak mi autentycznej świadomości literackiej, brak protestu przeciwko absurdałnej skończoności naszego życia. Podjadę w górę. „Twoja sztuka ma buntować lub nawracać. A u ciebie jest najwyżej rozpacz z powodu braku autentycznego środowiska literackiego.” Kto dziś nosi podwiązki! Trzeba tragizmu, wyboru, przy czym każdy wybór musi być zły, a brak wyboru jest jeszcze gorszy. Esencja musi wyprzedzać egzystencję. Puszczą jednak tę gumkę. Może chce mnie wplątać w jakąś aferę? „Na pewno cierpisz, bo wszyscy cierpimy, jesteś równie skazany, ale bardziej świadomy.” Po trzy z każdej strony. „Pisarz musi być dzisiaj artystą i intelektualistą w jednej osobie. Jeżeli jesteś szmatą, to pisz o sobie, że jesteś szmatą, a jeśli nie masz odwagi napisać tego o sobie, to znajdź sobie człowieka z krwi i kości i pisz o jego doli człowieczej.” O doli Włosiaka? Zamknęła drzwi na zasuwkę. Może jest tu jakieś inne wejście? „Obowiązkiem sztuki jest drastyczne dobieranie się do człowieka.” No to dobrałem się do Włosiaka, który codziennie zniknął „Pod Szewczykiem”. A więc rozbiórę ją. – No jak to kto, Włosiak – powiedział wtedy dozorca wychylając literatkę. – Pamiętam jego żonę. O Matko Boska, cóż to było za dupsko. Ale on to porządny człowiek, uczciwy, ogólnie szanowany, niestety – rozłożył ręce – pije. – Dlaczego to właściwie mężczyzna musi zawsze rozbiierać kobietę? To są idiotyczne konwencje. „To, co ty robisz, dawniej w ogóle nie nazywało się literaturą. Musisz uwierzyć w magiczną funkcję sztuki, a w twojej prozie nie ma

wspornika.” A jak wejdą sprzysiężeni? „Jak chcesz uratować ludzi? Prezentując miałość, nicość, zapisując brak ambicji.” Gdyby ona mi choć trochę pomogła. „Wykpiwając się drwiną”; notabene wcale nie wiadomo, czy mi coś z tego wyjdzie. „Cierpienie na ziemi można znieść, ty możesz przygotować ludzi do wytrzymania tego cierpienia.” To jest praktycznie ostatni moment, aby się wycofać. „Musisz nawiązać do wielkich mitów, do sakralnej funkcji sztuki.” Jeśli na tym, co z nią wykonam, jeszcze coś stracę, będzie to zupełnie absurdalne. „Zderzyć sacrum i profanum.” No, już jest za późno. „Musisz korzystać z czasu mitycznego, uobecnionego.” A trzeba teraz robić to jak najdłużej, żeby się nie skompromitować. „Nie wolno odcinać literatury od wartości religijnych, inaczej opiszesz tylko pogoń za dobrami materialnymi i powodzeniem na ludzkim rynku.” W takich sytuacjach najlepiej jest myśleć o czym innym. Byle nie o kobiecie. Boże, jak duszno! Trzeba się było przynajmniej do końca rozebrać. „Wtedy dopiero pojmiesz całą złożoność egzystencji, że to, co jest jednym, jest jednym, a to, co nie jest jednym, też jest jednym.” Te sprężyny ściągną wszystkich. Jak ona się rzuca! Esencja, egzystencja, tajemnica... Ujjujujuj! Ciekawe, co teraz robi Włosiak.

Wracaliśmy na salę. Kiedy dotarło do niej, że nic nie wiem i jestem tutaj dopiero pierwszy dzień, była wściekła z właściwym kobiecie egoizmem. Nie brała pod uwagę tego, że ja byłem równie zawiedziony. Wykrzykiwała, że jest tu już dziesiąty dzień, że przecież nie może stąd sama wyjść. Spytałem o jej towarzysza, ale machnęła ręką. – To dwudniowiec. – Wtedy wpadłem na pomysł, aby zainteresować ją Włosiakiem. Mogło to być ciekawe z wielu względów i teraz, okrążając już parkiet, na którym przez te kilkadziesiąt minut nic się nie zmieniło, powtarzałem, że Włosiak jest człowiekiem z krwi i kości, nie żyje ideami, lecz własnym życiem, kogoś takiego powinna się trzymać, on może stać się dla niej mężem opatrnościowym. Wreszcie uspokoiła się i kiedy siadła obok Włosiaka, już uśmiechała się do niego promiennie. Napełniłem kieliszki, a Włosiak nie zwracając na nią uwagi zaczął mówić.

– Długo nie mogłem zasnąć, licząc na obudzenie się mojej żony, które nie nastąpiło. Wreszcie rano zasnęłam i nie zastałam jej już w łóżku.

– To okropne, co pan mówi. Kobiecie nie wolno tak postępować. Ja bym nigdy tak nie postąpiła.

Włosiak spojrzał na nią smutno przekrwionymi oczami i na szczęście nie wybijając się z rytmu opowieści ciągnął dalej.

– Tak pani tylko mówi. Chłopcy i krawcy na mój widok wstali, składając mi z szacunkiem ukłony. Robili miarę na rozsuwanym manekinie, dopasowywanym do postaci klienta. To był pomysł Włosiaka, na który wpadł wśród jeńców w obozie, gdzie bawił w czasie okupacji. Po pięknych schodach wykładanych dywanem, przytrzymywanym na każdym stopniu metalowymi prętami, aby się nie marszczył, zszedłem na dół. Bardzo ładne dziewczęta szyły spodnie uśmiechając się do mnie. Po pierwszym zdziwieniu dowiedziałem się, że kobiety lepiej szyją spodnie niż mężczyźni, w związku z sentymentem, jaki dla nich mają – tak mi powiedział Włosiak. Zresztą ja sam już byłem Włosiakiem, która to zmiana została załatwiona przez teścia w czasie ślubu przy pomocy sumy pieniędzy. Teść tego dnia był ogromnie serdeczny, wyglądał jeszcze bardziej imponująco z opuchniętą od alkoholu twarzą. Przy śniadaniu piliśmy kawę i pojawił się Witek w świetnie skrojonym garniturze z flaneli, na kacu. Rozglądałem się za żoną, która nie przyszła, ale nie wypadało mi się o nią pytać.

– Niektóre kobiety są takie – wtrąciła. – Ja uważam, że mężczyzna po to zakłada dom, aby mieć przy sobie stale kogoś, kto go kocha i dba o niego.

– Przy mnie był tylko teść. Teść mnie uczył kroju. Dopiero zobaczyłem, jaki Zamojko był tandeciarz, a ten mistrz. On wszystko umiał. Jak on pikował klapy! Frak z czarnej krepki szły białymi nićmi, czarną podszewkę też białymi nićmi, tak że nic nie było widać. A jak on szyl

brzegi, jak obrzucał szwy. Zresztą co będę panom mówić! Ta był mistrz! Uczył mnie wszystkiego od początku, Przede wszystkim kroju. Ułożenia ręki, zgięcia palca – proszę pana, to jest cały układ: pochylenie nad stołem, rozluźnienie prawej ręki przy usztywnieniu lewej, Lewa noga sprężynuje, prawa pełni funkcję dźwigni, na niej się odchyła do tyłu i z niej odbija do przodu nad stół, cięcie nożyc, odchylenie do góry, oglądanie, znów odpadnięcie do tyłu, dźwignia, wychylenie – to trzeba robić automatycznie, żeby się nie męczyć. Trzeba złapać rytm, nauczyć się czuć materiał. Inaczej się ciągnie płótno, jedwab. Ja w rękawiczkach, z zamkniętymi oczami po zapachu odróżniałem gatunek płótna, to samo z jedwabiem. – Włosiak zapalił się i zaczął wywijać rękami. – Robiliśmy ćwiczenie z igłą przypominające ćwiczenia lekkoatletów: parę minut wolno, potem pełny gaz. Szycie długą i krótką nitką – to wszystko są różne techniki. Poznawałem te wszystkie procesy od początku. Teść był dla swoich pracowników bezwzględny, ale sprawiedliwy. Ale wracając do żony, następne wieczory nie różniły się od pierwszego. Zaraz drugiego oczekiwałem jej już w łóżku rozebrany, żeby nie mogła zasnąć ani udawać. Ale kiedy już się położyła, a wyglądała naprawdę pięknie i ja ją kochałem całym sobą, powiedziała, że jest zbyt zmęczona, żebym dzisiaj dał spokój, i odwróciła się, pocałowała mnie przedtem w usta. Nie mogę panu opisać tego, co przeżywałem, jakie upokorzenie i męki towarzyszyły mi przez całą noc. To przekraczało moje możliwości.

– Trafił pan na zimną kobietę – powiedziałem.

– Ale jak pan to mógł znieść? – wtrąciła się ona.

– Zachowywał się pan bez ambicji. Dlaczego się pan nie wyniósł?

– W nocy wstawałem, wykradałem się na ulicę, szedłem nad Wisłę i chodziłem do rana pieszo, chcąc się zmęczyć, przyglądałem się rybakom, którzy siedzieli nad rzeką. Nabrałem do siebie obrzydzenia za to, że jej nie zmusiłem, ale byłem tak upokorzony, tak mi było wstyd, że nie umiałem jej poprosić. Czasem chodziłem z nią na zakupy po różne kobiece ozdoby, potem wyjechała odpoczywać nad morze i jedyną pociechą był dla mnie teść, z którym oglądaliśmy filmy i dyskutowaliśmy sposób ubierania się bohaterów, wprowadzając pewne nowości do naszej pracy.

Oczywiście, to wszystko inaczej by wyglądało, gdyby przyszedł do Włosiaków jako bohater powstania, nawet pijany, ale z gnatem za pasem i w wysokich butach. Ona by mu wtedy uszyła battledress i byłoby odwrotnie: on by pił i dlatego nie mógłby z nią żyć, bo właściwie byłby już umarły, a rozpaczałaby ona.

– Ale – zapytałem – właściwie dlaczego ona miałaby pana kochać? Za co? Co pan jej z siebie dawał?

– Kochałem ją.

– Ale z siebie, ze swojej indywidualności, ze swojego życia? Pan nie miał prawa wymagać od niej miłości. Pan chciał tylko brać.

– Wiem, że mój stan nerwów wymagał leczenia.

– Gdyby pan był rzecznikiem jakiejś idei, a tak jej się z panem nudziło.

– Takie życie zakłóciła dopiero śmierć Witka Włosiaka. Założył się, że przejedzie na motorze z zamkniętymi oczami przez bardzo ruchliwe skrzyżowanie. Pogrzeb był wielką manifestacją współczucia całego rzemiosła. Przemawiał prezes, potem ksiądz długo rozwodził się nad zaletami Witka, a mój teść nie wyglądał wcale na bardzo przejętego. Tyle że jeszcze bardziej zbliżył się do mnie. Równocześnie postępowała odbudowa miasta. My także przebiliśmy się do następnego mieszkania i zajmowaliśmy już ogromne pomieszczenie. Ja z rozpaczy pracowałem w dzień i po nocach.

– Pan przeżył straszne rzeczy, nie dziwię się, że pan mógł się zniechęcić.

– Lubili mnie dyrektorzy, poznawałem wysoko postawionych ludzi, piękne kobiety – uśmiechały się do mnie, ponieważ wyglądałem zachęcająco będąc przystojnym blondynem.

Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia, ponieważ moje stosunki z żoną nie posunęły się. Któregoś dnia znajdowałem się w pobliżu samobójstwa nie mogąc wszystkiego zrozumieć, moja żona wyjechała wtedy do Sopotu, a za nią ciągnęły się kawalkady samochodów z młodzieńcami, upiłem się pierwszy raz w życiu i opowiedziałem wszystko teściowi, który wpadł we wściekłość, oświadczył, że tę kurwę zabije, zobaczyłem łzy w jego oczach i wzruszyłem się jego troską do tego stopnia, że pocałowałem go w rękę. Wtedy on przytulił moją głowę, pieścił mnie jak psa, drapiąc za uszami, a ja wypłakałem się z całego serca. Powtarzał: „Ladacznicza, ladacznicza!”, a ja zwierzałem się, że już dłużej nie mogę tak żyć i nie mogę skupić się na krawiectwie. On objął mnie, leżałem w jego ramionach jak syn i cieszyłem się z odnalezienia ojca. Minęło kilka dni, wezwana przez teścia telegramem powróciła moja żona i tego samego dnia wieczorem posiadałem pierwszą w ciągu mego życia kobietę, która była do tego moją żoną, z którą przedtem spędzałem noce przez okres ponad roku. Jednak po oddaniu się, w którym nie napotkałem żadnego zainteresowania z jej strony, żona moja wyjaśniła, że po prostu nie orientowała się, żebym chciał z nią sypiać, ponieważ myślała, że jej ojciec całkowicie mi wystarczał, czego wówczas nie rozumiałem w pełni. Jednak zaczęły nurtować mnie pewne podejrzenia, zwłaszcza następnego dnia, kiedy teść zapytał mnie, czy jego rozmowa z córką poskutkowała, a kiedy odpowiedziałem, że tak, przytulił mnie i ucałował. Wtedy rozpamiętywać zacząłem wszystkie pieśczęty, jakimi mnie obsypywał, zwłaszcza kiedy żony nie było, a ja chorowałem z przeziębienia, on kładł się koło mnie, przytulał mnie, gładził po całym ciele po przyjacielsku, jak myślałem, i zapewniał, że jest jeszcze mężczyzną mimo swego wieku, co dawał mi do sprawdzenia. Kiedy to wszystko sobie uświadomiłem, w jedną chwilę nagle zrozumiałem, że w grę może wchodzić podstawowe odchylenie, co do tej pory nawet nie powstało mi w głowie. W tej sytuacji poczułem się tragicznie, rozumiałem niechęć teściowej, którą otaczała mnie od początku. Nie będę opowiadał dalszych scen, powiem tylko, że żona moja oświadczyła także, że wyszła za mnie wyłącznie na żądanie ojca. Wtedy dopiero uświadomiłem sobie wszystko, a także to, że myśląc, iż spotyka mnie szczęście, padłem po prostu ofiarą intrygi wykroczeńca. Po tych wszystkich przejściach postanowiłem opuścić dom Włosiaków i zacząć życie na nowo. Rozpocząłem od tego, że wyprowadziłem się z domu.

Włosiak urwał, wychylił kieliszek i zakąsił frytką. Ona nareszcie poprawiała makijaż. Wyglądała na bardzo wzruszoną.

Przy stoliku obok nie dostrzegłem zaczytanego w *Sztuce czytania*. I wtedy nagle uświadomiłem sobie, że jestem już spóźniony na zbiórkę o dobre dwadzieścia minut. Poprosiłem Włosiaka, aby na chwilę przerwał, i przepchnąłem się przez parkiet. Przy WC nikogo już nie było. Zakręciłem się bezradnie, kiedy zamierzałem już odejść, zwróciłem uwagę na przyczepioną do drzwi kartkę: „Stokrotne dzięki za zamykanie drzwi.” Znajac już system szyfrów stosowany przez sprzysiężonych, bezzwłocznie udałem się na poszukiwanie pokoju numer 100. Znajdował się on na końcu korytarza. Przez chwilę stałem przed drzwiami zastanawiając się, czy postępuję rozsądnie, potem zapukałem. Ktoś otworzył i wszedłem do środka.

Sprzysiężeni obradowali przy kopcącym ogarku. Po chwili, kiedy wzrok przyzwyczaił się już do półmroku, zobaczyłem w pokoju kilku mężczyzn, którzy już przedtem zwrócili moją uwagę. Byli to: mężczyzna o potężnym karku i twarzy przypominającej buldoga, mężczyzna szpakowaty, o nienagannych manierach konsula polskiego w Glasgow, oraz mężczyzna z brodą, mężczyzna z tikiem i mężczyzna bez jednego oka. Ze znajomych zobaczyłem różowitkiego, dalej mężczyznę z książką Berezy oraz długą, straszliwie wychudzoną postać, przypominającą Ibsenowskiego pastora, która przekazała nam przy barze zaszyfrowany komunikat. Kazano mi przykleknąć, przysiąc, pasowano mnie i przyjęto do sprzysiężenia, po czym mężczyzna o wyglądzie konsula kontynuował przemówienie:

– Otóż, panowie, reasumując, w kierowanym przeze mnie domu starców udało mi się obudzić u moich pensjonariuszy chęć do życia, zorganizować potężny zespół, który na uroczystościach zaprezentował bogaty program. Dlatego wydaje mi się, że powinniśmy kontynuować w naszej sytuacji te prace. Zorganizować wszystkich obecnych. Zgoda. Ale mówiąc realnie, należy ich pierwej ożywić, zachęcić, sprawić, by nabrali ochoty do wyjścia. Stąd wydaje się niecelowe przerywanie wykładów o długowieczności. Na marginesie dodam, że nasze prace w domu starców miały znacznie szerszy zakres. Badaliśmy, aktywizując i angażując staruszków, technikę tworzenia się grup opozycyjnych, równocześnie próbowaliśmy ustalić granicę wieku, do której w naszych pensjonariuszach rodziła się chęć protestu. Rzecz prosta, aktywizacja nie obyła się bez ofiar. Wzmocnieniu całości jako grupy towarzyszyło niestety wykruszenie się fizyczne części pensjonariuszy, którzy źle znieśli eksperyment, i trzeba ich było wycofać także i z końcowego programu. Ogólne jednak morale podniosło się bardzo poważnie, utworzona zaś grupa opozycyjna, starannie, choć niewidocznie przez nas pielęgnowana, także czuła się świetnie.

– Do rzeczy – wtrącił pogodnie różowiutki, mrugając do niego porozumiewawczo.

– Cały czas mówię na temat – zaperzył się facet. – W naszej sytuacji proponuję, aktywizując wszystkich poprzez ćwiczenia fizyczne, równocześnie poznać ich przeszłość.

– Metodą indywidualnych przesłuchań? – ożywił się różowiutki. – Czy wie pan, ile by to czasu zajęło? Ja niegdyś kierowałem najbardziej rentownym przedsiębiorstwem w całym regionie. Mieliśmy zaledwie 0,4 procent spraw nie wykonanych. Czy wie pan, jakiej to wymagało pracy?!

– Panie sędzio – krzyknął ktoś z tyłu proszę nie przeszkadzać!

Różowiutki usiadł, a mówca kontynuował swój wywód:

– Należy odnaleźć i wyselekcjonować u każdej z osób elementy wartościowe, aktywne, odciąć je od wspomnień nietwórczych i nasycić akceptacją terażniejszości. Niepełną, żeby jednak chcieli wyjść. U każdej z badanych osób powstanie pewna wartość, osobno nie znacząca wiele, natomiast wszystkie wzięte razem stworzą pewną nadwartość. W ten sposób rysuje się możliwość realizowania szczęścia jednostkowego poprzez udział w szczęściu zbiorowym. Podniosłem rękę.

– Panowie, jestem pisarzem.

– Wiemy – przerwał różowiutki sędzia. Poczulem się przyjemnie zaskoczony.

– A co panowie mojego czytali?

– Sprawdzono przy wejściu pana dokumenty. Do rzeczy.

– Jeśli się dobrze orientuję, panowie, chcecie stąd wyjść. Należałoby zacząć od porozmawiania z tymi, którzy wypuszczają. Chyba że panowie wiecie, gdzie tu jest wyjście.

– Szukaliśmy go – mruknął różowiutki sędzia – trudno trafić.

Rozpocząłem od tego, że kraj nasz wszystko zawdzięcza literaturze, od wieków pełniła ona rolę przewodnią, ostatnio zaś stała się bezgranicznie oddana, szuka zawsze najlepszych dróg i jest miarą postępu. Dodałem, że krąg wartości humanistycznych jest szeroki, ale że musimy wybrać z nich elementy najcenniejsze w naszej sytuacji. Wyraziłem opinię, że skoro tu jesteśmy i nie chcą nas wypuścić, to widocznie popełniliśmy błąd, jesteśmy winni i dano nam okazję do przemyślenia tego. Nieostrożne byłoby podejmowanie jakichkolwiek działań, póki nie zdobędziemy pewności, przeciw komu są one skierowane. Chodzi o to, abyśmy nie rozpoczęli walki z naszymi przeciwnikami z innych niż ich pozycje.

Zrobiłem przerwę, żeby zbadać wrażenie. Staralem się nie mówić w sposób zbyt skomplikowany, pamiętając o ich niewyrobieniu, z drugiej strony nie chciałem powiedzieć niczego, co mogłoby się obrócić przeciw mnie. Ciągle nie miałem pewności, czy nie stanę się ofiarą jakiejś prowokacji. Przyglądali mi się na ogół obojętnie, poza mężczyzną ze *Sztuką czytania*, który wybuchnął ironicznym śmiechem.

– Nasze cierpienie z pewnością jest zasłużone – powtórzyłem ostrożnie.
– To bez sensu – wykrzyknął tamten, potrząsając książką. – To wszystko, co nas tu otacza, jest nierzeczywiste.

– Skoro to jest nierzeczywiste, to nasze cierpienie też jest nierzeczywiste i nie ma się czym przejmować. W każdym razie integracja jest, być może, istotnie potrzebna. Nie wiem, czy panowie macie do siebie zaufanie, czy wszyscy zostali sprawdzeni. Jeśli tak, to w każdym razie proponuję, abyśmy na wszelki wypadek, zastanawiając się nad możliwością wyjścia, od tej pory słowo „wyjście” zastąpili słowem „wejście”, słowo „ucieczka” słowem „przybycie”, słowo „szczęście” słowem „nieszczęście”, żeby w wypadku rozszyfrowania planów nie było żadnych konkretnych dowodów. A stworzy to dodatkowo przyjemniejszy klimat rozmów.

Na korytarzu zadudniły ciężkie kroki i do środka zajrzała łysa głowa czatownika, ozdobiona z przodu ocalałym w zdumiewający sposób pipkiem długich włosów.

– Idzie kierownik! – krzyknęła głowa i znikła. Sprzysiężeni poderwali się.
– Bez paniki! – krzyknął różowiutki sędzia. – Pojedynczo, udając pijanych, ze śpiewem. Zbiórka za godzinę w tym samym miejscu.

Kobieta karmiła kota. Był wypasiony, brzuch ciągnął mu się niemal po ziemi, ze znużeniem obwąchiwał rzucane zewsząd kawałki mięsa. Błyszcząc jak godzinami pucowane buty. Drapała go za uszami, a jemu nie chciało się nawet mruczeć.

– Pan jest bardzo miły – powiedziała.
– Miły? – zdziwił się Włosiak. – Wyniosłem się, spakowałem, nie żegnając się z nikim wyszedłem. Zamojko nie żył. Jego żona wyjechała z miasta. Na miejscu sklepu było Ognisko Muzyczne. Pojechałem na wieś do siostry. Szyłem im ubrania, ale nie mogłem tam usiedzieć. Przyjechał do mnie teść – nie chciałem z nim mówić. Czekał pod drzwiami, darł się, że mnie kocha, żebym wracał, ale ja mu nie mogłem wybaczyć, że podjął się próby wypaczenia mnie. Nie chciałem wrócić pomimo otrzymania wiadomości, że moja żona urodziła dziecko, nawet nie byłem ciekaw, kto został uznany za ojca. Po roku jednak wróciłem do miasta. Zbudowało się bardzo dużo, wszędzie wznosiły się w górę domy, mieszkania, ludzie byli pięknie poubierani, a sklepy wypełnione do ostatniego miejsca towarami. Przeszedłem pod domem teścia – wznosił się tam sześciopiętrowy drapacz, po Włosiaku ani śladu. Potem znalazłem jego obecny pawilon. Znajomi wynajęli mi pokój – zamieszkałem w nim. Wstąpiłem do spółdzielni, zacząłem źle szyć, upijać się ze zgrzyoty, a następnie stałem się impotentem. Zaciągnąłem się do spółdzielni w charakterze prostego krawca.

No to już nie jest nawet mały realizm, ale jeszcze gorzej.
– Nie było mi łatwo z tym nazwiskiem, ponieważ Włosiak był symbolem sektora prywatnego, który w obecnej fazie polityki nie był popierany.

O właśnie. Gdyby był w powstaniu, to w spółdzielni byłoby mu trudno albo łatwo, zależnie od momentu.

– Składałem papiery, z żoną spotkałem się w sprawie rozwodowej, była ciągle tak piękna jak przedtem. Tak jak pan, teść próbował ze mną rozmawiać i wtedy się nie zgodziłem. W spółdzielni wyraziłem gotowość zmiany nazwiska na poprzednie, ale odmówiono mi. W związku z elastycznymi posunięciami taktycznymi moje nazwisko zaczęto wykorzystywać dla szerszej sprawy. W cechowym piśmie ukazał się wywiad ze mną zatytułowany *Włosiak niejedno ma imię*, prezes darzył mnie życzliwością. W artykule odciąłem się od sektora prywatnego, wskazując na wyższość uspołecznionego.

A potem mógłby mieć do siebie żal, że zdradził sprawę, mieć obsesję, że ludzie z organizacji za nim chodzą. I wtedy by zaczął pić, ze strachu.

– W tej spółdzielni pracowałem jak wściekły. Finansowo niedużo z tego było. Rozumiałem, że poprzedni stan może się źle skończyć dla mojego zdrowia. W spółdzielni

miałem zespół czterech ludzi do pomocy, awansowałem na krojczego, przyszły maszyny z zaprzyjaźnionych państw naszego obozu. Teraz już szyło się inaczej, szybciej, krój był znacznie ważniejszy od wykończenia. Pojawiły się owerloki, czyli okrętarki, co oznaczało koniec epoki obrzucania szwów ręcznie. Sektor krawiectwa prywatnego zaczął zostawać w tyle, robiliśmy szybciej, taniej i modniej. Równocześnie zacząłem szyć w domu. Miałem sporo klientów i teraz zacząłem zarabiać. Jednak wtedy zaczęło się ze mną dziać bardzo źle po raz drugi, w sposób, nad którym nie mogłem zapanować. Klienci zaczęli mnie coraz bardziej denerwować, denerwował mnie ich tupet, wchodzili do mnie, do mieszkania, i trzaskali podkutymi obcasami o podłogę – od tego hałasu pękała mi głowa i mrużyłem oczy. Drażnili mnie, bo klienci mego teścia nie musieli podkuwać butów, po pierwsze, mieli zawsze pieniądze na nowe obcasy, a po drugie, blaszki rysowały im parkiety. Natomiast ci moi w ogóle nie znali się na tym, co wkładają. Zacząłem robić różne próby. Najpierw nie wszywałem taśmy u dołu spodni, potem nie wszywałem podkolanówek, równocześnie podnosiłem ceny. I miałem coraz więcej klientów. A ja ich coraz bardziej lekceważyłem, a nawet zacząłem nimi pogardzać. W Izbie Rzemieślniczej zostałem powołany na odpowiedzialne stanowisko, jako Włosiak wysuwany przeciwko mojemu teściowi ze względów ideowych. Spotykałem czasem teścia, przygarbił się, patrzył na mnie smutno, ale nic nie mówił. Powodziło mu się ciągle dobrze, miał starych klientów i szył ciągle z miłością, tak jak się powinno szyć. Spotkałem dyplomate, z którym poznałem się kiedyś u teścia. Przeniósł się z szyciem do naszej spółdzielni. Teść miał przykrości, przychodził interweniować do Izby Rzemieślniczej, ja wtedy wychodziłem z pokoju, żeby przy tym nie być. Nie mogłem mu zapomnieć, że jest przyczyną wszelkiego zła, które się ze mną działo. Moja żona wyszła za mąż i wyjechała za granicę. Spotkaliśmy się dopiero na pogrzebie teścia. Żałowałem go, ale życie uczuciowe mi zniszczył. Byłem tak samo samotny jak on – w wieku o ile młodszym. Znów znalazłem się na okładce pisma cechowego, ze zdjęciem.

Wtedy mógłby Włosiaka ktoś z organizacji rozpoznać i zmusić, aby źle szył.

– Było przyjęcie, wszyscy mi gratulowali, ale ja obserwowałem zachodzące we mnie procesy, których nie mogłem zatrzymać. Podarłem wszystkie zdjęcia mojej żony, co nie zmieniło faktu, że ją kochałem. Tymczasem rosło we mnie zniechęcenie do zawodu i do ludzi. Jak przychodził ktoś do miary i zdejmował buty, co przy wąskich spodniach było nieuniknione, to widziałem, że ma podarte skarpetki, postrzępione kalesonki, i już się zniechęcałem. Wtedy też zacząłem coraz więcej pić i szyć coraz gorzej, naumyślnie coraz gorzej, i ciągle wszyscy mówili, że nikt nie szyje tak dobrze jak ja. Wiedziałem już, że dobre szycie nie ma sensu, i piłem coraz więcej. Wracalem w nocy albo nad ranem i oglądałem siebie w lustrze, dawniej nigdy tego nie robiłem. To lustro było zawsze zajęte inaczej. Stał w nim ktoś w moim garniturze; odbijał się w nim mój garnitur. Ale teraz nie patrzyłem już na garnitury, tylko pierwszy raz widziałem siebie, i tak mi ten widok obrzydł, że jednej nocy kopnąłem lustro, które u dołu popekało w tę pajęczynę, co pan widział. Następnie powstał we mnie plan wykorzystania tego. W pracy nikt nie wiedział, że piję, nikt tam nie widział mnie pijanego, przestałem odczuwać pociąg fizyczny, zanikał, w miarę jak piłem, i szyłem świadomie coraz gorzej. Wziąłem ze spółdzielni młodą dziewczynę.

– Tę, co widziałem?

– Tę, co pan widział. Dobrze jej płacę za pomoc w szyciu i sprzątaniu. Ona liczyła na więcej, ale pociąg nie powrócił. Ponieważ wcale nie chciałem, żeby wrócił, nie poszedłem do żadnych lekarzy. Równocześnie wykonywałem plan z lustrem. To była chwila, która nappełniła mnie obrzydliwym uczuciem dla siebie, a jednocześnie nie mogłem się opanować, ponieważ obrzydło mi wszystko, brzydziłem się siebie i brzydziłem się klientów. Nie mogłem znieść myśli, że ich oszukuję, że jestem szmaciarzem, więc musiałem pić, a nie mogłem tego nie robić, bo już na wszystko było za późno. Więc jak przed lustrem klient stanął w moich

spodniach i wspinał się na palce, żeby coś zobaczyć, a nie mógł, bo to lustro było przeze mnie u dołu rozbite i widać w nim było dobrze tylko marynarkę i kamizelkę, kiedy spytał, jak leżą spodnie, odpowiedziałem, że świetnie, chociaż materiał źle pracował i rzucało się to w oczy z daleka. Następnie powiedziałem, że chcę więcej pieniędzy, niż początkowo zamierzałem wziąć, a klient był tak wdzięczny, że zapłacił od razu, uściskał mi rękę i powiedział, że wróci ze znajomym. Temu znajomemu wziąłem miarę tak, że kazałem mu się położyć twarzą do podłogi z rozłożonymi rękami i obrysowałem go kredą. I też był mi wdzięczny.

Na sali coś się zaczęło dziać. Usłyszeliśmy brzęk rozbitego szkła, ale zza szpaleru ludzi wypełniających parkiet nie mogliśmy niczego zobaczyć. Ktoś upadł na ziemię, potem rozległo się przeraźliwe miauczenie.

– Mają go – wrzasnął koło nas impetyczny grubas – mają pasożyta.

– Zaszliśmy go od tyłu – zafalował nad nami tłustym brzuchem, wylewającym się z rozpiętej koszuli. – Chrystus próbował się wymknąć. Właśnie ja odciąłem mu odwrót uśmiechnął się dumnie. – Na stoliku tworzyła się już mała kałuża z jego potu. – W ten sposób zrobił się kocioł, przepadła bestia! – pobiegł dalej.

Zauważyłem, że w powstałym zamieszaniu ktoś napoczął mi melbę – ani Włosiak, ani ona nie chcieli się przyznać – byłem wściekły. Nie znoszę takich historii. Byłem pewien, że to któreś z nich. Wokół kota kłębił się tłum ludzi.

– Trzeba zrobić porządek. Zbiórka natychmiast! – zarządził przebiegając koło mnie różowiotki sędzia.

W pokoju byli już wszyscy. Szpakowaty dyplomata krzyczał histerycznie:

– Trzeba działać natychmiast! Wszystko wymyka nam się z rąk. To jest anarchia! Musimy opanować salę.

– Niech się pan uspokoi – przerwał mu różowiotki sędzia. – Działać musimy oczywiście natychmiast. Ale jeżeli już polują na kota, to nie jest tak źle.

Swoją drogą, niezwykła ta historia o starszkach. Zupełnie, jakby mnie podsłuchał. Wracając do Włosiaka... Gdybym się tym zajął – że młody chłopak ze wsi przyjeżdża do miasta, to jest dobre. Gdybym go zrobił szewcem, miałbym wiele realiów, na przykład z wojny mogłyby ocaleć kopyta. Mógłby też zostać przyjęty do pracy jako kelner, mógłby zakochać się w bufetowej... Bufetowa miałaby męża. Mógłbym zrobić tak, że on by się kochał w jakiejś dziewczynie – albo studentce, albo córce adwokata. Można by zrobić tak: na przykład bufetowa ma skłonności lesbijskie i kocha się w dziewczynie tego chłopca, a z nim żyje, żeby się do niej zbliżyć. Gdyby się tę historię zbrutalizowało i dodało refleksji o śmierci i obojętności; bufetowa mogłaby być śmiertelnie chora, dla niej miłość z tą dziewczyną mogłaby być czymś świętym, ostatnią szansą. Tu odbiłem się od płaskości tematu. Albo tak, że on kocha naprawdę bufetową, która udaje, że go kocha z wymienionych powodów, i tu byłby jego dramat. Można by też zrobić tak, że ta dziewczyna ma innego kochanka, ma skłonności lesbijskie i zakochuje się w bufetowej, a on jest tylko narzędziem. Obie zmuszają się do współżycia z nim, aby żyć z sobą, podczas gdy są stworzone dla siebie. W tym kryłaby się może pewna filozofia: mężczyzna dziś jest już niepotrzebny, deprecjacja jego funkcji, skoro nie pełni funkcji naturalnej, czyli zapładniania. To mogłoby coś znaczyć. A może zrobić go homoseksualistą? I mąż bufetowej też jest homoseksualistą, a łączy ich wspólna niechęć do pełnienia naturalnej funkcji w sytuacji, gdy wszystko, ku czemu zmierza świat, jest sprzeczne z naturą. Tylko że tu wszystko by trzeba wymyślać, bo ten początkowy układ pęka. Bar jest dobrym miejscem, można by tu wykorzystać wiele rzeczy. Ktoś mi powiedział: nie ma piękniejszego widoku niż samotny mężczyzna przy barze. Tylko że znowu akcja będzie się rozgrywała w knajpie, jakby poza tym nie było innego życia. Znowu zaduma nad pustą półlitrowką i prymitywny język. Jakby nie było dramatów fizyków jądrowych,

rozgrywających się w pracowniach, jakby nie było wielkiego namysłu ekonomistów i męczarni polityków. Ludzi współtworzących naszą cywilizację. Problemów na miarę naszej epoki. A gdyby zrobić Włosiaka fizykiem albo intelektualistą, albo jednym i drugim, a może w ogóle powinienem potraktować akcję jako pretekst i iść w stronę eseju. Przetrasnąć zakamarki psychiki Włosiaka i sięgnąć tam, gdzie bije źródło jego obsesyjnego rozdarcia. Zawiesić go między wojnami. Między zmieniającymi się wartościami. Żeby Włosiak urodził się za wcześnie albo za późno i dlatego wyrzekł się maksymalizmu etycznego i w ogóle każdego. W każdym razie trzeba ustalić jedno. Bo gdybym jednak czerpał z jego opowieści, to nie są w niej jasne związki wynikania między wstąpieniem do spółdzielni, picciem, impotencją i psuciem garniturów. O to muszę go spytać, jak się tylko skończy to zebranie.

Wzbudzająca współczucie wyrazem strasznego smutku twarz zakołysała się na wychudłym ciele. Beczący głos uciszył sprzysiężonych.

– Nasza sytuacja jest wynikiem ogólnego upadku moralności, czasów małej wiary, gdy księży potajemnie biorą śluby, w Watykanie wisi portret przewodniczącego Mao w odległości paru metrów od portretu Pawła VI.

– I co z tego? – przerwał buldogowaty. – Co pan tu pieprzy.

– Otóż właśnie. – W sposób zadziwiający zafalowała twarz, wykrzywiając się w grymasie, który wyrażać miał ironię. – To samo powiedział zapytany rzecznik Watykanu. „Co tu dużo gadać. Obraz przesłano nam w darze powiesiliśmy go – to wszystko.” Inny kaznodzieja powiedział, iż pogląd, że życie płciowe winno ograniczać się do małżeństwa, jest śmieszny. I dodał: „Nie ma czym chwalić się dziewica, która jest dziewicą dlatego, że nikomu nie pozwoliła się dotknąć.”

Buldogowaty wybuchnął śmiechem mówiąc, że jest to całkiem słuszne.

– Zaraz – wtrącił się szpakowaty – panowie tu gadają, a tam nam się wszystko wymyka z rąk. Na sali panuje chaos.

– Panowie – podniósł się mężczyzna z książką Berezy – nie wolno decydować nam za innych ludzi, ograniczać ich indywidualności, niech myślą sami. Niech próbują konstituować elementarne prawdy o sobie. Nie wolno nam niczego im narzucać. Pozostanie lub wyjście musi być twórczym aktem naszej wolnej woli. Najsensowniej byłoby zapoznać ich z treścią książki. W ten sposób doświadczą specyficznych przeżyć duchowych. Z książki dowiedzą się o sobie więcej, niż dowiedzieliby się przez całe życie.

Na korytarzu zadudniły kroki. Sprzysiężeni zamarli. Po chwili drzwi otworzyły się i łysa głowa czatownika zajrzała do środka.

– Melduję, że Włosiak razem z kobietą zamknęli się w komórce. Odmeldowuję się.

– To oburzające – wykrzyknął różowiotki sędzia. – My tu radzimy, jak ich uratować, a taki zaciągnie ją do pokoju, drzwi zastawi szafą, żeby nikt mu nie przeszkadzał, przewróci ją na łóżko, nawet się, proszę panów, nie rozbierze, tylko zadrze jej suknię, położy się na niej w butach i będzie robił swoje godzinami, nie przejmując się sytuacją. Co za ludzie rozżalił się na dobre.

– To pijak – powiedziałem. – Niedawno napoczął moją melbę. Ma skłonności homoseksualne.

– Najgorsze jest to, że oni są wszyscy bezkarni. – Różowiotki sędzia uderzył pięścią w stół. – Nie boją się.

– Ani rozpustnicy, ani cudzołźnicy, ani rozwiązli, ani mężczyźni współżyjący z mężczyznami nie wejdą do królestwa Bożego – zabczała ponura twarz.

Wtedy poraziła mnie swą oczywistością pewna myśl. Mój plan mógłby się realizować w kilku fazach.

– To, co pan mówi o zepsuciu – powiedziałem – możemy wykorzystać. Istotnie, zaspokojenie seksualne prowadzi do pewnego bezwładu, podczas gdy nie zaspokojony

instynkt zwiększa nerwowość i niepokój. Pozbawienie nas całkowicie życia erotycznego uczyni egzystencję tutaj nieznośną, uzyskane zaś w ten sposób stany histeryczne będą sprzyjać – ukloniłem się w stronę sędziego – także i szerzeniu strachu, który istotnie można uznać za element integracyjno-twórczy. Przechodzę do konkretów...

– Nie słuchajcie go! – krzyknął wyznawca *Sztuki czytania*. – To jest sprzeczne z poszanowaniem wolności. Nienawiść do zmysłów i radości to nienawiść do ducha i wolności.

Sędzia szarpnął go za rękę, tak że stracił równowagę i opadł na krzesło, po czym poprosił, abym mówił dalej. Wtedy wyłożyłem w skrócie mój pomysł. Wyjaśniłem, że historia lubuje się w inscenizacjach, przytoczyłem kilka przekonujących przykładów, jak podpalenie Rzymu, Reichstagu, wreszcie domu jednorodzinnego przez mojego znajomego. Idąc tym tropem, trzeba kogoś z nas zmaltretować, przy czym przeprowadzić to w ten sposób, aby zyskać mu ogromny kredyt zaufania u widzów. Muszą być przekonani, że osoba ta jest bita, bo broni ich sprawy, która jest zresztą naszą wspólną sprawą. Część osób niestety jeszcze o tym nie wie, ponieważ nie zależy im na tym, żeby wyjść. Dlatego wydało mi się oczywiste, że muszą zacząć rozumieć, iż coś im tu grozi. Nasza inscenizacja zakłada, że maltretującymi będą ci, którzy nie pozwolą wyjść, a maltretowany będzie szukał drogi wyjścia dla wszystkich, stąd stanie się on ofiarą za wszystkich, a bicie go będzie rodzajem odkupienia. Rzecz musi być odprawiona ceremonialnie. Następnie zmaltretowany przemówi do nich albo ktoś z nas przemówi w jego imieniu. W ten sposób on stanie się naszym męczennikiem i uzyska konieczny autorytet. Wtedy obejmiemy wszystkich organizacją, wprowadzimy wymieniony wyżej zakaz życia erotycznego i inne. Stworzymy przekonanie, że tylko my możemy obronić ich przed dalszym biciem itd. Oczywiście ofiarę zbić należy solidnie, żeby to zrobiło wrażenie. Musimy teraz wybrać odpowiednią osobę.

– Proponuję pana – powiedział różowiutki sędzia.

Kategorycznie zaprotestowałem, ale sędzia skinął na buldogowatego, wraz z nim podnieśli się mężczyzna z brodą, mężczyzna z tikiem i mężczyzna z jednym okiem.

– Pożałujecie tego! – zawołałem.

– Pan nas musi zrozumieć – powiedział prosząco różowiutki sędzia. – Nikt tego nie robi tak dobrze. Pana pobicie porwie ich i wzruszy, a my zrobimy wszystko, żeby to wypadło prawdziwie. Na pewno nas pan zrozumie i wybaczy nam.

Pochylił czerwoną głowę i po chwili buldogowaty i tamci trzej wykręcili mi rękę. Próbowałem się wyrwać, ale unieruchomili mnie z wprawą zawodowców.

– Nie tacy jak pan próbowali mi się wyrwać – szepnął mi na korytarzu buldogowaty, wprawnie zginając mi głowę do ziemi. – Jeszcze się taki nie narodził.

Orkiestra miała właśnie przerwę, kiedy wprowadzono mnie na salę. Po drodze oko, broda, tik i twarz buldoga zniknęły pod naciągniętymi na twarze czarnymi pończochami. Na parkiecie

wybuchła panika. Ludzie z krzykiem wycofywali się do stolików, plątali się w kotarach, wywracali krzesła. Próbowałem krzyczeć, ale buldogowaty fachowo ścisnął mi gardło. Przywiązali mnie do skrzyżowanych metalowych żerdzi, wspierających podium dla orkiestry. Na sali zrobiła się cisza. Wtedy buldogowaty mrugnął do mnie i krzyknął: – Gadaj, sukinsynu, kto cię namówił! – Jego twarz, spłaszczona pończochą, wykrzywiła się w makabrycznym uśmiechu. Trzasnął mnie pięścią w żołądek, poprawił jeszcze raz. Zacząłem się dusić. Próbowałem krzyczeć, ale nie mogłem wydobyć głosu. Mrugnął znowu i kolejny cios zmiął mi wargi. Wisiałem już na sznurach, nogi trzęsły mi się tak, że nie mogłem powstrzymać rytmicznych zderzeń kolan. Próbowałem powiedzieć im wszystkim, że robią coś głęboko nieetycznego, poruszyłem wargami, poczułem smak krwi i straciłem przytomność.

Leżałem na dwóch zestawionych fotelach. Jak przez mgłę usłyszałem pogardliwy głos buldogowatego: – Wrażliwy, nie umie dostawać. – Ktoś podważył mi zęby, zakrztusiłem się wódką. Przede mną wynurzyła się niewyraźna, wykrzywiana twarz, która po chwili zmieniła się w sympatycznie zaokrągloną różowiutką twarz sędziego.

– Był pan wspaniały – powiedział. – Napije się pan jeszcze?

– Chamy – powiedziałem. Boleśnie zapiekło. Dotknąłem palcem rozbitych warg i jęknąłem. W głowie mi szumiało, dolna warga zajmowała połowę twarzy, sięgała niemal do nosa, bolało aż przy brodzie. Z oddali dochodziło smutne beczenie:

– Nasz przyjaciel realizuje pański zamysł, teraz właśnie przemawia do sali. To był wielki pomysł – ścisnął mi rękę – chciałem panu pogratulować.

Chciałem poprosić ich o lusterko, ale wypowiedzenie tylu słów nie opłacało się.

– Wygląda pan znakomicie, dokładnie tak jak trzeba.

Z daleka dolatywały groźne okrzyki.

– Teraz mówi im o Włosiaku i tej kobiecie, czyli o zdradzie, złamaniu naszych praw. Są oburzeni. Zdaje się, że szykują demonstrację pod drzwiami komórki.

Poczułem się odrobinę lepiej. Poprosiłem jeszcze o kieliszek wódki. Ostrożnie wlewałem ją lewym, nie rozbitym kącikiem warg. Mimo to zapiekło okropnie. Oczywiście nie było sensu okazywać sprzysiężonym nienawiści, w końcu trzeba myśleć rozsądnie i wyciągnąć z tej sytuacji maksimum korzyści. Krzyki na korytarzu narastały.

– Już się formują – uśmiechnął się różowiutki sędzia. – Czy może pan wstać? – spytał troskliwie. – Niech pan nie ma do nas żalu. Oto moja ręka.

Uścisnąłem ją i wsparty na jego ramieniu ruszyłem na korytarz. Powitano nas owocami. Mimo wszystko poczułem pewną satysfakcję. Pod drzwiami komórki kręcił się spory tłum.

– Mam was w dupie – rozległ się ze środka głos Włosiaka.

– Tacy jak oni – sędzia wskazał drzwi uniemożliwiają nam wyjście, które od dziś nazywa się wejściem. – Pociągnął mnie między kotary. – Mam dla pana niespodziankę powiedział. Szliśmy przez jakiś czas w półmroku nie znanym mi do tej pory bocznym korytarzem. W pewnym momencie sędzia przyłożył palec do ust. Poruszaliśmy się teraz na palcach, za nami jak cień kroczył buldogowaty, niosąc sporą wagę z parującym bigosem. Sędzia zatrzymał się, przyłożył ucho do ściany, uśmiechnął się i kiwnął na mnie. Kiedy zbliżyłem twarz do ściany, dostrzegłem niewyraźny zarys drzwi. Schyliłem się i przyłożywszy ucho do szpary poniżej głowy sędziego usłyszałem jej głos:

– Widzisz, kiedyś te piersi stały mi w górę, o tak.

Różowiutki sędzia zachichotał. Buldogowaty odstawił wagę z bigosem, stanął na czworakach, wsunął mi głowę między nogi i także przykleił ucho do szpary.

– Są dokładnie takie jak trzeba – odpowiedział głos Włosiaka.

– Gentleman – zachichotał znowu sędzia.

– Może lepiej wyjść. Co oni z nami zrobią?

– Coś wymyślą.

– Ale nie dasz mnie? Prawda, kochanie, obronisz mnie?

– Myślę, że nie. Ale może zostawią nas w spokoju.

Potem rozpoznałem znajome skrzypienie sprężyn. Trwało to dosyć długo.

– Daje jej popalić – sapnął pode mną buldogowaty.

Sprężyny długo nie mogły się uspokoić.

– Kochany – powiedziała ona. – Może jednak wyjdziemy? Jestem taka szczęśliwa, ale boję się.

– Dawno się tak dobrze nie czułem. Jeśli chcesz, to wyjdź.

– Może nie będą mieć na nas czasu? – zapytała z nadzieją. – Przecież to dla nich bez znaczenia, prawda, kochanie?

– Zdrętwiałem – syknął buldogowaty. – Puść mi pan głowę.

– Spokój – warknął sędzia.

– Wątpię, czy te łobuzy czegoś naprawdę chcą. Mamy tu wodę, możemy długo żyć.

– Jezu – jęknął buldogowaty, kiedy z satysfakcją ścisnął mu głowę kolanami. Szarpnął się i padając rąbnął głową w zamaskowane drzwi, które powoli otworzyły się z trzaskiem dartej tapety.

– Przynieśliśmy wam też jedzenie – powiedział z uśmiechem sędzia.

Włosiak gwałtownie odwrócił się w naszą stronę, ona, zupełnie naga, leżała bez ruchu, jakby nie chcąc uwierzyć.

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy – wyjaśnił sędzia. – Na te drzwi wpadliśmy przez przypadek.

Wszedłem za nim do środka, za nami wtoczył się buldogowaty z bigosem, mamrocząc przekleństwa. Odstawił wazę i zaczął rozcierać głowę, co znacznie poprawiło mi samopoczucie.

Zaczęła płakać. Najpierw jej rękami, potem głową, wreszcie całym ciałem szarpały szybkie dreszcze. Przytuliła się do pleców Włosiaka. Okrył ją prześcieradłem, nagi sięgnął po ubranie.

– Wymiarowy – mruknął buldogowaty.

– Boi się pan? – zapytał sędzia. – Jednak się pan boi.

– Ja wiem? Raczej mi szkoda.

– Ale boi się pan też – pogroził mu palcem. – Jeżeli nie o siebie, to może o nią.

– Jej to moglibyście dać spokój.

– Wszelkie zło bierze się z kobiety – z półotwartych drzwi wynurzyła się ponura twarz wykrzywiona grymasem, który bez powodzenia udawał uśmiech. Za nim wychyliła się nerwowa twarz sprzysiężonego ze *Sztuką czytania*.

– Złamaliście nasze przepisy – powiedział sędzia. – Ludzie was nienawidzą, opóźnicie nasze wejście, musicie być pokazowo ukarani. Zaczniemy od pani, proszę wstać.

– Jestem niewinna – zsunęła się z łóżka na kolana. – Ja tego nigdy więcej nie zrobię, on mnie zmusił – zaczęła krzyczeć.

– Mam nadzieję, że jej nie ruszycie – krzyknął wyznawca *Sztuki czytania* wymachując książką. – Nie wolno wam tego zrobić.

Buldogowaty roześmiał się.

– Odechce się jej na całe życie tej roboty.

Wtedy podniosłem rękę w górę:

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł powiedziałem, pokonując opór warg. – Przede wszystkim bądźmy cicho.

– Od razu wiedziałem, że z pana jest kawał szmaty – powiedział patrząc na mnie Włosiak.

– Pisarz, dobrze, że panu ktoś nałożył po gębie, ale za mało.

– Prawdę mówiąc – kontynuowałem przecież nam zależy na tym, żeby oni tu zostali. Ponieważ z wyjściem, to jest z wejściem, są rzeczywiście kłopoty, nic się nie daje na razie wymyślić, więc te demonstracje pod drzwiami wszystkich szalenie rozładowują. Oni upajają się myślą o tym, co z wami zrobią, nienawidzą was i to im pozwala łatwiej czekać. To działa na ich wyobraźnię, wasze zamknięcie właściwie spadło nam jak z nieba. Zawsze wierzyłem, że miłość jest wspaniałym uczuciem, a wam udało się coś bardzo pięknego. Dając szczęście sobie, ofiarowujecie je równocześnie ludziom za drzwiami. To był wielki pomysł.

– Jest to miłość, która przynosi piękne owoce, jakkolwiek pochodzi ze złego drzewa, w końcu będzie ono zresztą wycięte i wrzucone w ogień – zakołysał się ponury sprzysiężony.

Różowiutki sędzia popatrzył na mnie z uznaniem.

– Kolega jest pesymistą – rzucił w stronę ponurego. – Wszystko na pewno skończy się dobrze. Zostawiamy wam bigos i podrzucimy jeszcze parę konserw. Tylko nie radzimy wam wychodzić, bo tamci ludzie są bardzo prymitywni. I życzymy wam wiele szczęścia.

Włosiak sięgnął po wazę z bigosem i powąchał. – Pachnie bardzo dobrze – powiedział. – Będziemy jeść. Musicie nam tylko donieść coś do picia, parę flaszek.

W drzwiach ukazała się łysa głowa czatownika. Zameldował o tworzeniu się na sali niezhierarchizowanych grup społecznych, jedno-, dwu-, trzy- aż do dziesięciodniowców. Na sali panuje straszny chaos.

– Coś trzeba zrobić. Niech pan coś wymyśli – powiedział do mnie sędzia.

Włosiak obojętnie jadł bigos, kobieta ubierała się pod kocem.

– Wyjście z sytuacji jest bardzo proste odpowiedziałem. – Trzeba ich zhierarchizować.

– Zakręciło mi się w głowie. Usiadłem na łóżku, cała twarz piekła, ale umysł pracował jasno. – Centralnym punktem ciała ludzkiego rozpocząłem – jest z natury rzeczy pępek. Jeśli bowiem położy się człowieka na wznak z wyciągniętymi nogami i rękami i ustawiwszy jedno ramię cyrkla w miejscu; gdzie jest pępek, zakreśli koło, to obwód koła dotknie rąk i nóg. Hierarchizację możemy przeprowadzić w oparciu o magiczną teorię liczb.

– Czy nie odpałiłyby mi pan trochę bigosu?

Włosiak wręczył buldogowatemu łyżkę i zaczęli jeść razem.

– Najwyżsi w hierarchii będą dziesięciodniowcy, ponieważ opieramy się na systemie dziesiętnym, przyjętym jeszcze przez starożytnych, jako że jest dziesięć palców u obu rąk poza tym oni są tu najdłużej. Potem siedmiodniowcy, bo jest to liczba sakralna, potem trzydniowcy, nie wiem dlaczego, i wreszcie jednodniowcy.

– A dwu-, cztero-, pięcio-, sześcio-, ośmio- i dziewięciodniowcy? – spytał z niepokojem sędzia.

– To pariasi – zdecydowałem krótko.

Sędzia nachylił się do mnie.

– To niezręczna historia, ale wie pan... trzeba by coś tu zmienić.

– To niemożliwe.

Jego różowa twarz stała się purpurowa.

– Mówiąc między nami, ja tu jestem dopiero dziewiąty dzień.

– To mnie zupełnie nie interesuje. – Zapaliłem papierosa, umieszczając go uważnie w lewym kąciku, ale zapiekło tak silnie, że zaraz zgasilem go krzywiąc się z bólu. – Stworzyłem naukowe podstawy systemu dniokrotności, albo raczej pobytodniowości, i uczciwość nakazuje bezwarunkowo ich bronić.

– Ale ja jestem pięć dni – podniósł się buldogowaty.

– No, ostatecznie pięciodniowców można by wyłączyć – uzupełniłem szybko.

– Bardzo panu dziękuję – ucieszył się buldogowaty i usiadł.

– Muszę z panem porozmawiać – zbliżył do mnie twarz sędzia.

– Absolutnie nie mamy o czym ze sobą mówić. Bardzo mi przykro – uśmiechnąłem się. – Proszę mnie zostawić w spokoju.

Sprzysiężeni z brodą, tikiem i jednym okiem podeszli do sędziego, szeptem zaczęli się naradzać.

– On też jest tu drugi dzień – Włosiak wskazał mnie palcem, nie przerywając jedzenia.

Kobieta z rezygnacją tapirowała włosy, od czasu do czasu spoglądając błagalnie na Włosiaka.

– Kłamie! Jestem tu trzeci dzień – oburzyłem się.

– Trzasnę go? – podniósł się usłużnie buldogowaty.

– Zaraz – powiedział sędzia – trzeba go wysłuchać. Co to za metody, takie zastraszanie ludzi!

Buldogowaty zamyślił się.

– Oczywiście – uzupełnił Włosiak odsuwając talerz – przyszliśmy przecież razem i jesteśmy drugi dzień. Niech ktoś skoczy po flaszki. – Spojrzał na nią. – Nie zjesz bigosu?

Uśmiechając się radośnie przytuliła mu głowę do kolan.

– Co pan na to? – powiedział sędzia. – Myślę, że się teraz porozumiemy.

– W porządku – spojrzałem z nienawiścią na Włosiaka. – Panowie zostaniecie honorowymi siedmiodniowcami, a ja jestem tu trzeci dzień.

– Bardzo panu dziękuję. Przy okazji: nie sądzi pan, że jego – spojrzał na Włosiaka – należałoby w ogóle wyeliminować? On może nam sprawić mnóstwo kłopotu. A wie pan – ożywił się nagle – idąc za pana myślą można by go trzasnąć i zwalić to na tamtych, którzy uniemożliwiają wyjście, to jest wejście. Dopiero ci na sali zaczęliby się bać.

Miałem do Włosiaka wielki żal, ale nie mogłem się na to zgodzić. Nie znałem jeszcze puenty jego historii, a w końcu musiałem pamiętać, po co tutaj przyszedłem. Pokiwałem przecząco głową:

– Na razie to wykluczone. Oni są nam potrzebni tutaj do wywoływania nienawiści. Chodźmy na salę.

Pod drzwiami znowu rozległy się okrzyki.

– Lepiej się dobrze zamknijcie. Jedzenie będziemy wam podrzucać. – Sędzia oglądał podartą tapetę. – Tych drzwi chyba nie znajduję. No to życzymy wam szczęścia. I używajcie za wszystkich.

Ogłoszenie systemu dniokrotności albo pobytodniowości odbyło się uroczyście. Pewnym novum, jakie uchwaliliśmy po drodze, było obok pełnego zakazu uprawiania stosunków seksualnych wprowadzenie dodatkowej klauzuli, ustalającej ulgi dla weteranów: dziesięcio- i siedmiodniowców. Jak łatwo było przewidzieć, nie wszyscy byli zadowoleni. Nie spodziewaliśmy się jednak, że staniemy wobec takiego ogromu pracy. Zaczęły się reklamacje i sprostowania. Utworzyliśmy komisję, która na podstawie wyglądu zewnętrznego, zeznań osoby zainteresowanej i dwóch świadków, którzy należeć musieli co najmniej do siedmiodniowców, rozpatrywała sprawy ewentualnego przekwalifikowania. Plenilo się kłamstwo i oszustwo. Przeprowadzaliśmy pomiary zarostu, osiągnęliśmy w tym dużą wprawę. W związku z tym najczęstsze stało się symulowanie jednodniowości. Zgłosił się do nas mężczyzna z twarzą gładką jak kolano, ale nienaturalnie czerwoną. Nasi czatownicy wykryli, że poddał się on za sporą sumę zabiegowi wyrwania całego zarostu. Były liczne wypadki poparzeń przy opalaniu zarostu zapalkami, co więcej, zaczęła szerzyć się korupcja: autentyczni jednodniowcy sprzedawali swoje czyste koszule i nie wygniecione garnitury. Szczególnie podatni na korupcję okazali się dziesięciodniowcy, którzy notorycznie składali pod przysięgą fałszywe zeznania. Młode kobiety masowo podawały się za dziesięciodniowców, przedstawiając po trzech i więcej odpowiedzialnych świadków weteranów. Wzrastało zamieszanie, byliśmy zawałeni robotą. Komisja ekspertów pracowała bez przerwy. Trzy godziny po ogłoszeniu dniokrotności nastąpił bunt dziewięciodniowców. Wystąpili oni z teoretycznym programem, podważającym doskonałość liczby dziesięć. Udowadniali, że z dziesięciu nie można wyciągnąć pierwiastka kwadratowego, podczas gdy pierwiastek z dziewięciu stanowi sakralna liczba trzy. Argumenty o dziesięciu palcach u rąk odrzucali demonstrując swego przywódcę, który miał u jednej ręki sześć palców. Na znak protestu dokonywali także samookaleczeń, pozbywając się jednego, dwóch lub więcej palców; obnosząc się z zakrwawionymi kikutami podważali podstawy pobytodniowości. Dziewięciodniowcy zaczęli dogadywać się z ośmiodniowcami. Co chwila dochodziło do bijatyk. Dwaj przedsiębiorczy jednodniowcy przemierzali całą salę z tacą, obiecując obronę

prawną w zamian za pewne sumy pieniężne. Zebrali górę pieniędzy. Ich klienci stracili cierpliwość widząc, jak przepuszczają całą tacę na alkohol w barze i na pokera. Stół hazardowy utworzony został nielegalnie w korytarzu przez dziewięciodniowców, a dochód z niego przeznaczono na wzmocnienie sił opozycji. Obaj jednodniowcy zostali pobici, a ponieważ poprzednio sprzedali już symulantom koszule i garnitury, interweniująca straż porządkowa potraktowała ich, jak ośmiodniowców i przyłączyła się do bijących; zanim zdążyli okazać numerki rozpoznawcze, dostali porządne lanie. Co więcej, zgłosiła się grupa czterodniowców oświadczając, że już od godziny są pięciodniowcami i domagają się przekwalifikowania. Wymagało to ogłoszenia, iż hierarchizacja jest niezmienna, niezależnie od dalszego upływu czasu. Słowem, mnożyły się kłopoty. Siedzieliśmy w pokoju kierownika, pijąc kawę, a na korytarzu hałasowali ośmiodniowcy. Ściany obu toalet pokryte były obelżywymi rysunkami i napisami adresowanymi do przedstawicieli liczb wybranych. Trójkę przedstawiano na nich z reguły jako pośladki, nie brakło wulgarnych dowcipów związanych z liczbami sześć i dziewięć. Nagle naradę naszą przerwał krzyk kobiety wzywającej pomocy. Po chwili czatownik zapukał w umówiony sposób i zameldował, że przy WC schwytano zamkniętą z Włosiakiem kobietę. Wyszliśmy na korytarz. Tłum zjednoczył się w nienawiści do niej, wleczono ją na środek sali. Wskoczyłem na krzesło. Miała już porwaną suknię, podrapane ramiona i opluty twarz. Najbardziej bezwzględne były kobiety, nie mogły jej zapewne darować złamania przepisów antyerotycznych. Wydałem buldogowatemu polecenie, aby przywrócił porządek, ale zabierał się do tego nader opieszale. Potężna gruba kobieta uderzyła tamtą bykiem w twarz, z nosa popłynęła krew.

– Dziwka! – ryczał tłum.

– Jezus Maria! – Wyznawca zamknął książkę Berezy. – To obrzydliwe, trzeba ją ratować.
– Przyglądał włosy, zdjął okulary, schował je do kieszonki marynarki, następnie zdjął marynarkę, starannie złożył ją, poprosił mnie, abym pottrzymał, i przystąpił do zawijania rękawów koszuli. Ta cała scena była rzeczywiście niemiła, z drugiej jednak strony wprowadzała pewną integrację. Przyjemnie było spojrzeć na przepychających się do przodu ramię przy ramieniu dwu- i trzydniowców, czterodniowców obok dziesięciodniowych weteranów.

Nagle trzasnęły drzwi toalety męskiej i wypadł stamtąd, podtrzymując spodnie, Włosiak. Gruby skórzany pas zapięty na metalową klamrę przewieszony miał przez szyję. Rozejrzał się i bez chwili namysłu runął w tłum. Teraz przestraszyłem się już poważnie o puente opowieści. Wrzasnąłem na buldogowatego i skoczyłem za Włosiakiem, który roztrącając ludzi parł do środka. Dookoła kładli się jak zboże trzy-, cztero- i sześciodniowcy. Zaskoczeni jego determinacją rozstąpili się i Włosiak biegł jakby szpalerem, po chwili znalazł się w środku, otoczył ją ramieniem i zasłonił sobą. Tłum zwarł się dokoła nich. Czerwony na twarzy byczek posunął się w stronę Włosiaka, leniwie kołyszając się w biodrach. Ten zdjął z szyi pas i wprawił go w lekki wirujący ruch. Byczek gwałtownie odskoczył.

W piętnaście minut później, kiedy siedziałem już z Włosiakiem przy stoliku popijając wódkę, a ona odpoczywała na zsuniętych krzesłach, z mokrym ręcznikiem na twarzy, pogratulowałem mu najpierw odwagi, a później wyraziłem zdziwienie, że umie posługiwać się bronią, przy której pomocy żołnierze rozstrzygają zwykle konflikty na zabawach tanecznych. Włosiak wypił, pokręcił głową i powiedział, że nie rozumie, o co chodzi. Wyjaśniłem, że o pas z klamrą. Wzruszył ramionami i mruknął, że o niczym nie wiedział, z wojska został zwolniony ze względu na poalkoholowe stany maniakalno-depresyjne, pasek włożył na szyję, ponieważ sam sobie szył spodnie w ostatnim okresie i nie chciało mu się zrobić patek, a że haczyk przy drzwiach toalety się złamał, musiał mieć obie ręce wolne, żeby przytrzymać klamkę, więc pasek powiesił sobie na szyi. W pewnej chwili stracił równowagę, wybiegł przed toaletę i w ogóle nie wiedząc, o co chodzi, siłą bezwładu zatoczył się w tłum.

Zatrzymał się dopiero przy leżącej kobiecie. Pasek z szyi zdjął machinalnie, żeby podpiąć spodnie, ludzie rozstąpili się, zobaczył, że jest pobita, wtedy dojrzał mnie i buldogowatego, jak precyzyjnie się do niego, no i razem przenieśliśmy ją tutaj. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Że też pan miał odwagę nam pomóc. Tego się nie spodziewałem po tych wszystkich świństwach, których pan narobił.

Spytałem go wtedy, jaka jest zależność między tym, że zaczął źle szyć, upijać się, wstąpił do spółdzielni, i tym, że został impotentem. Odpowiedział, że przestał dobrze szyć, bo w życiu jest za wiele zła, żeby je upiększać. Równocześnie dręczyło go sumienie, że źle szyje, więc zaczął zalewać robaka. A po wódce, jak wiadomo, są kłopoty ze wzrodem.

Zdenerwowałem się, bo myślałem, że tu odsłoni mi się coś metafizycznego, a tymczasem Włosiak wyłożył wszystko dość logicznie. Powiedziałem mu, że nie bardzo rozumiem, o co mu chodzi. Po prostu tak jest wszystko urządzone, sam się w to wpakowałem.

– Ano właśnie. Ja sam w to lazałem – zakrzuszył się oranżadą. – Bardzo ciepła ta oranżada.

– To niech pan nie pije. Jeśli pan uważa, że sam pan to wszystko powoduje, i tak to pana męczyło, to trzeba było przerwać.

– Co pan mi tu pieprzy. Jak tylko mogłem, to przerwałem.

– Patrzę na pana i właściwie chce mi się wymiotować. Dlaczego się pan tak załamał? Przecież nie miał pan żadnych szans, żeby żyć inaczej. Dostał pan prezent od nieba i tak pan za to zapłacił, że nie daj Bóg. Dali panu jedno świństwo, a ukarali drugim jeszcze większym. Chciałem panu powiedzieć, że jedyną możliwością zachowania spokoju i uzyskania zadowolenia z życia jest być wiernym sobie. Jeżeli pan jest świnią, niech się pan zachowuje jak świnia i wszystko jest w porządku. Wszystko zależy od pana.

– Zamknij się pan – mruknął leniwie Włosiak i pogładził ją po skłębionych włosach. Głowę będziesz musiała umyć.

Nie odpowiedziała. Ręcznik miarowo unosił się w górę.

– Chyba zasnęła – powiedziałem. – Niech mi pan pozwoli oranżady. W panu najbardziej drażni mnie to, że się pan żali, ma pan pretensje do wszystkich, a do siebie nie.

– Właśnie mam do siebie.

– Nie ma pan. Trzeba było prezentów nie przyjmować, przecież nikt pana nie zmuszał. Poza tym nie mówi pan prawdy. Przed chwilą pan powiedział, że po wódce traci pan potencję, a co pan z tą kobietą wyprawiał?

– To pierwszy raz, nigdy tego nie było. Jakbym zaczynał od początku.

Solista orkiestry ogłosił przez mikrofon półgodzinną przerwę. Do naszego stolika przybiegł zdenerwowany sędzia.

– Trzeba szybko coś wymyślić, wypełnić przerwę, inaczej wszystko nam się rozlezie. Spytałem o resztę sprzysiężonych. Wyjaśnił, że są na posterunkach. Osadzili następną parę w komórce po Włosiaku, ale to już tak nie działa jak za pierwszym razem. Trzeba zastosować coś mocniejszego.

– Przede wszystkim – powiedziałem musimy natychmiast zająć podium orkiestry. Wszyscy muszą wziąć do ręki instrumenty. Trzeba stworzyć wrażenie, że będziemy jednak grać. Część osób na pewno zostanie na parkiecie. W ciągu kilku minut musimy powziąć decyzję.

Chwilę później trzymałem w ręku pałeczki od perkusji, która widziana z bliska okazała się instrumentem bardzo złożonym. Pod nami niepokoił się tłum. Zgodnie z moimi przewidywaniami część osób, widząc, że bierzemy instrumenty do rąk, nie poszła na lep obietnic dziewięciodniowców, organizujących zebranie przy kuchni, lecz czekała na parkiecie. Sędzia, przebiegając palcami po wentylach trąbki, powiedział, że trzeba sięgnąć do środków ostatecznych.

- Tak pan sądzi? – spytałem naiwnie. – A co pan ma na myśli?
- No wie pan.
- Oczywiście wiedziałem, o co chodzi, wołałem jednak, aby on to sformułował.
- Przyznam się, że nie bardzo – uniosłem w górę talerze.
- No trzeba... stworzyć wrażenie, że nas wymordują, to znaczy że nas pojedynczo można wszystkich likwidować. No rozwijając twórczo tę pana myśl z biciem...
- Czy to jednak nie jest ryzykowne? wtrącił się szpakowaty elegant, przerywając strojenie fletu.
- Dlaczego? Chyba nie – zastanowił się sędzia. – Wybierzemy jakiegoś ośmio- czy dziewięciodniowca i ciach.
- Zaraz, zaraz... – niepokoił się ciągle szpakowaty. – Pan myśli, mam nadzieję, o triku? Coś w tym rodzaju jak trik z piłowaniem skrzyni?
- Oczywiście – wtrąciłem się. – Sędzia ma na myśli relację starszerek–młodzieniec–starszerek, tyle że musimy znakomicie wykonać to technicznie, dopiero wtedy będzie to z sobą niosło treści dydaktyczne. Słowem, musi to być przerażające. Przy czym nie zgodziłbym się z panem, aby to był ktoś przypadkowy. Ofiara musi być starannie wybrana.
- Jak to ofiara? – przestraszył się szpakowaty.
- No ofiara w ich mniemaniu, to znaczy oni padną ofiarą imaginacji. Krótko mówiąc, mam odpowiedniego człowieka. Proponuję Włosiaka.
- Ale przecież poprzednio – sędzia wydobył przeciągły ton z trąbki, przyglądał jej się ze zdziwieniem – poprzednio był pan przeciwny.
- Zmieniłem zdanie. A panowie możecie podchwycić moją inicjatywę i też go zaproponować. I wtedy wam powiem: zgoda. Jeśli chodzi o argumentację, to proste: alkoholik, homoseksualista, zgorzknialec, a także zmuszalec. To on zmusił kobietę, aby zamknęła się z nim w pokoju, i posiadał ją wbrew jej woli i naszym przepisom. Postawienie go w sytuacji ofiary pozwoli mu to wszystko przemyśleć, stanowić będzie dla niego, być może, moment katarctyczny. Co więcej, będzie miał szansę zrobienia czegoś dla innych, zastąpienia postawy zamkniętej otwartą, polubienia siebie po prostu. Musimy go wyrwać jak chwast, a w każdym razie udać, że go wrywamy. Będzie to dla nas bolesne, ale nie wolno nam mieć dla siebie litości.
- Zastraszenie Włosiaka wydawało mi się praktyczne także i dlatego, aby nie zgłaszał on później zastrzeżeń do mojej prozy. Wszystkie moje pomysły były zbyt wymyślone, za bardzo odchodziły od rzeczywistości, trzeba będzie zrobić zapis jego opowieści i pokazać filozofowi, żeby zdecydował, czy jest w tym metafizyka, czy nie ma. Jeśli nie ma, to oczywiście wszystko na nic.
- Wyznawca *Sztuki czytania* zaprotestował. Imitował on przygotowania do gry na skrzypcach, przy czym pod skrzypce podłożył sobie księgę.
- Nie wolno panu potępiać Włosiaka. Musimy wszyscy nauczyć się cenić cudzą odmienność, a wtedy dopiero nauczymy się cenić własną. Musimy tworzyć większą liczbę myślących, a nie większą liczbę wiernych. Zdobyć ich można tylko ucząc samodzielnego i krytycznego myślenia. Pan gardzi ludźmi, uważa ich za niepełnowartościowych moralnie, niegodnych zrozumienia prawdy. Nie można ograniczać niczyjej wolności.
- Pan nie zrozumiał Berezy – odpowiedziałem – który pisze wyraźnie, że „nie trzeba ograniczać niczyjej wolności, wtedy gdy nie jest to konieczne”. A teraz jest to konieczne.
- Nie chce mi się z panem dyskutować – sprzysiężony przeciągnął smyczkiem po strunach. – Pan nie tylko nie rozumie sensu życia, ale co gorsza, nie rozumie pan sensu literatury. Przykro mi to mówić, ale jest pan arywistą, parweniuszem, karierowiczem i grafomanem. To wszystko.

Staralem się opanować wzburzenie. Uderzyłem kilka razy w bęben i próbując się uśmiechać, mimo kłopotów z wargą, zdobyłem się na ton ironicznie pobłażliwy:

– Tak jak pan mówiono kiedyś u nas w kraju i dlatego nasz kraj był pod zaborami. Niemniej jednak wyjdę naprzeciw pana sugestiom. Nie będziemy nikogo do niczego zmuszać. Zmieniłem koncepcję ofiary i proponuję, aby był to ktoś z nas, kto się z nami nie zgadza.

– Kategorycznie protestuję. – Wyznawca *Sztuki czytania* odłożył skrzypce.

– Przecież właśnie pana ofiara, która się zresztą nie spełni do końca, będzie formą protestu, stanie się naprawdę piękna. To bardzo wiele może okazać tyle wierności własnym poglądom.

– Niech pan poczeka – zastanowił się. Muszę poradzić się księgi. – Zamknął oczy, uniósł *Sztukę czytania* w górę i nagle gwałtownie otworzył ją. – Strona 290 od góry: „Świnia w przenośnym sensie, moralnym czy estetycznym.” A widzi pan – uśmiechnął się do mnie triumfująco – nie zgadzam się. Jeszcze słowo i skoczę na parkiet.

– To jak będzie? – zastanowił się buldogowaty.

Sędzia rozłożył ręce.

– Trzeba będzie kogoś innego.

Och, wy dranie – pomyślałem. – To tak... oto wasza wdzięczność... nie jestem wam już potrzebny, ja, który dla was tyle zrobiłem. Nie możecie się odwdzińczyć takim głupstwem! Ale bardzo dobrze. To będzie dla mnie nauczka. Niepotrzebnie się z nimi wiązałem i angażowałem w to autorytet moralny swój i literatury. Bardzo dobrze się stało, że się odsłonili. Kto wie, jak daleko mógłbym z nimi dojść dla dobra sprawy. No ale zapłacą mi za to. W końcu tych sprzysiężonych jest tylko ośmiu i chcą zastraszyć wszystkich tutaj, wprowadzić terror?!

Zrozumiałem, że muszę położyć kres tym oszustwom. Trzeba dogadać się z ludźmi, powiedzieć im wszystko o tych szwindlach. Ludzie mają do mnie zaufanie, bo zostałem pobity w sprawie wyjścia czy wejścia. Tu się sprzysiężeni oszukali. Zapłacą mi i za tamto pobicie. Zrozumieją mnie, posłuchają mnie na pewno. To prawda, że nie wolno nie doceniać ludzi, traktować ich jako niepełnowartościowych moralnie. W tym punkcie autor książki ma rację. Ja zbyt daleko odszedłem od prawdy, od wartości etycznych. Tego literaturze robić nie wolno. Ale teraz sprzysiężeni mnie popamiętają. Chcieli mnie wykorzystać i niczego za to dla mnie nie robić. Ale zobacz, co to znaczy narażać się pisarzowi. Muszę tych ludzi ostrzec. Przecież sprzysiężeni rzeczywiście gotowi ich wymordować. Nie wolno mi dłużej milczeć. A jeśli mnie nie posłuchają? Czy nie narażę się za bardzo? Co mogą mi zrobić? Czy ja nie stanę się nową ofiarą?

Spojrzałem na zadowoloną z siebie twarz sprzysiężonego ze *Sztuką czytania* i zrozumiałem, że w imię prawdy muszę ryzykować wszystko. Chwyciłem mikrofon. Zanim sprzysiężeni zorientowali się, już mówiłem. Pod sobą widziałem tych wszystkich ludzi, małych, pokurczonych, w poszarpanych garniturach, kobiety w zbrukanych sukniach, biednych ludzi, których chciano skrzywdzić. Poczulem wielkie wzruszenie i z całej siły ściskając mikrofon, aby ukryć drżenie dłoni, przemówiłem. Szumiało mi w uszach, wargi piekły niemiłosiernie, ale ciągle mówiłem do mikrofonu, czekając na nich, poświęcając się dla nich, obserwując ich reakcje. Ale nie zrobili nic, nikt z nich nie ruszył się. Może moje słowa przerażały ich jeszcze bardziej. Zrozumiałem, że przegrałem, i wtedy zacząłem mówić tak pięknie, iż mnie samego to porwało. Pomyślałem, że to są moje ostatnie słowa. Kalana ugięły się przede mną, sala tańczyła mi przed oczami, potem rozplynęła się w czerwonej mgłę i byłbym upadł, gdyby nie podparły mnie mocne, muskularne ramiona. Pomyślałem, że jednak się ruszyli, i usłyszałem głos: „Już możesz się zamknąć.” Otworzyłem oczy i pojawiła się przede mną twarz buldogowatego.

– Bardzo pięknie pan przemawiał – powiedział z uznaniem sędzia. – To było głęboko wzruszające. Niech pan teraz odpocznie. Sprzysiężeni z brodą, z tikiem i z jednym okiem bili brawo.

Posadzili mnie w fotelu.

– W porządku, przekonał nas pan. Zrobimy to z tamtym. Swoją drogą, pan umie mówić. Całe szczęście, że ten mikrofon był wyłączony.

Zrozumiałem, że wszystko jest w porządku, że nic mi nie grozi. Przypomniałem sobie zresztą, że widziałem, jak solista wyłącza mikrofon. Rozłożyłem ręce i odchyliłem się do tyłu, zawisając na ramionach sprzysiężonych.

Kiedy przyszedłem do siebie, siedzieliśmy w pokoju kierownika. Ktoś jęczał. Uniosłem głowę i zobaczyłem, że to buldogowaty trzyma w podwójnym nelsonie wyznawcę *Sztuki czytania*. Po twarzy spływały mu łzy.

– Panowie – histeryzował szpakowaty elegant, snując się po pokoju – nie wolno nam zabijać go naprawdę. Jesteśmy na to zbyt cywilizowani. Musimy zerwać z tamtymi metodami. Poza tym nie wiadomo, czy nie czeka nas za to jakaś odpowiedzialność.

Sędzia wzruszył ramionami.

– Kiedy nie daje rady. To musi wyglądać bardzo autentycznie, a do perfekcyjnej sztuczki nie jesteśmy technicznie przygotowani. Brak nam po prostu nowoczesnego sprzętu. I tak będzie dość kłopotu z tym piłowaniem i skrzynią.

– A bo po co przesadzać? – zabeczał błąd, ponury mężczyzna. – Ja, proszę panów, od piętnastu lat golę ludzi. – Wyciągnął z kieszeni marynarki podłużny przedmiot, rozłożył go, błysnęło ostrze brzytwy. – Tak machnę go brzytwą, że nawet nikt nie zauważy, i będzie po wszystkim.

Wtedy pomyślałem, że bohaterem mojej książki mógłby być właśnie fryzjer. Chłopak przyjechał ze wsi i zostaje fryzjerem. Zakochuje się w córce człowieka, którego goli. To zręczna komediowa sytuacja. W czasie golenia wyznaje mu miłość do córki. Tamten z brzytwą na gardle zgadza się. Albo nie zgadza się, wtedy bohater zniechęca się do świata, zaczyna celowo źle strzyc, strzyże nierówno, z tyłu głowy wycina dziury, a kiedy klienci proszą o lusterko, gdyż chcą zobaczyć się z tyłu, on zbliża swoją głowę do głowy klienta i w lusterku odbija się tył jego własnej głowy. Aż przychodzi taki moment, że siebie też nie chce mu się już strzyc. Mogłoby się to skończyć samobójstwem. Ale to jest za krótkie, nie można by tego osobno wydać, trzeba by rozciągnąć środek. Rozbudować elementy obyczajowe. Ojciec powinien się zgodzić, on musi wziąć ślub, potem wszystko bez zmiany, jak u Włosiaka, potem zostaje działaczem spółdzielni fryzjerskiej albo inspektorem, o ile coś takiego jest, jeździ na prowincję kontrolować jakość usług i wygłasza referaty o fryzjerstwie.

– Nie zgadzam się na wykorzystanie mojej śmierci do waszych intryg – pisał wyznawca, próbując się wyrwać. Buldogowaty wzmocnił chwyt.

– Też nie robimy tego dla siebie – powiedział różowiutki sędzia. – Pan będzie miał przekonanie, że broni swoich poglądów, to jest najważniejsze. Zresztą może w ogóle uda się panu nie zginąć.

– To prawda – mruknął fryzjer – w zasadzie, jeśli pan wierzy w to, co pan mówi, sprawiedliwi muszą ocaleć. To jak, panowie? Ciachnę go? Raz, raz. Pan się nie boi, to potrwa pół sekundy.

– Co pan! Pan w ogóle nic z tego nie rozumie – zirytował się sędzia. – Przecież nie o to chodzi, żeby ciachnąć od razu, tylko przeciwnie. Potrzebna jest widowiskowość. Z jakimi ja ludźmi pracuję! Niech się wyrывa, niech macha rękami, to poruszy najbardziej zobojętniałych, albo nie znam się na ludziach.

Sprzysiężeni z jednym okiem, z brodą i z tikiem przystąpili do zbijania skrzyni.

– Śmierć kogoś z nas byłaby w ogóle bez sensu, ponieważ w generalnych sprawach jesteśmy zgodni. Wyprostuj go – sędzia zatrzymał się przy buldogowatym. – Muszę wziąć miarę.

Po chwili wyznawca *Sztuki czytania* przebierał nogami w powietrzu.

– Fanatycy! Zbrodniarze! Tacy jak wy spalili Kopernika!

– Nie strasz nas ogniem, łobuzie – sapnął buldogowaty.

– Przy okazji – zabeczłał ponury, składając niechętnie brzytwę – chciałem prosić, aby pan po śmierci dał nam jakiś znak, czy istnieje życie wieczne. Ogromnie o to pana proszę. Zawsze nurtowało mnie pytanie, co się dzieje z człowiekiem po śmierci, gdzie są umarli i dlaczego Bóg dopuścił zło. Notabene miałem nawet z tego powodu przykrości, bo goląc pewnego księdza, w czasie dyskusji ciachnąłem mu pół małżowiny. Zresztą przyszyli mu ją bardzo elegancko, ale od tego czasu więcej się nie pokazał, może przeniósł się z goleniem gdzie indziej.

Rzeczywiście gotowi go zabić – pomyślałem. – Ale jak go z tego wyciągnąć? Przecież wcale nie myślałem o tym, żeby go zabić. Tych na sali wezwać na pomoc? To już tego miałem próbę. Z drugiej strony sam jest sobie winien. Po co, idiota, protestował, dlaczego atakował literaturę?

– Ja zgadzam się z wami – wrzasnął nagle tamten. – Wszystko wycofuję. Akceptuję wasze metody. Teraz już nie ma powodu, żeby mnie poświęcać, a pana przepraszam – krzyknął w moją stronę.

Buldogowaty zawahał się.

– Nie, pan nie robi tego szczerze – pokiwał przecząco głową różowiutki sędzia. – Pan sam w to nie wierzy. Miałem taki wypadek, że już chciałem kogoś skazać na parę lat więzienia, kiedy trafiłem na nowy trop, znalazłem mnóstwo dowodów, zacząłem od początku i dzięki temu udało mi się uzyskać dla oskarżonego karę śmierci. Dzięki temu miałem czyste sumienie i mogłem spać spokojnie.

No tak – pomyślałem. – Teraz skamle. Zawsze znajdują się jacyś idioci, którzy przez głupotę pozwalają się mordować takim jak ten sędzia. Sami stwarzają takich ludzi. Gdyby był od początku z nami zgodny, nie byłoby problemu. Co najgorsze, w tę całą brudną sprawę jestem wmieszany i ja, no niestety, muszę brać udział w tym wszystkim. A tamten ze strachu się poci. Gdyby bohater był fryzjerem, to powinien się spocić, zanim przetnie sobie gardło, tyle że to się sprawdza raczej w filmie.

Poczułem na ramieniu rękę sędziego. Poklepał mnie przyjaźnie. W końcu sprzysiężeni rzeczywiście chcą wyjść. To dobrze, że mi ufają, przynajmniej jestem bezpieczny. W końcu oni też ryzykują, muszą robić rzeczy, na które nie mają ochoty. A czy wiedzą na pewno, że im się uda? Wcale nie wiedzą. Rzeczywiście, trzeba wytrącić z obojętności całą salę, przełamać płaczliwość takich jak ta szmata pod ścianą, który teraz prosi, żeby mu uwierzono. Spojrzałem na popękany żółty sufit i odłazące podarte tapety. Rzeczywiście, trzeba stąd wyjść.

– Gdybyśmy panu uwierzyli – powiedział różowiutki sędzia – straciłby pan sam wiarę w siebie.

Tamten ciągle przysięgał. I znowu sędzia:

– Nie chce pan niczego z siebie dać ludziom. Jest pan egoistą. Chce pan tylko przyjmować. A czy gotów byłby pan dla poparcia swoich słów zrobić wszystko?

Tamten jęknął, że tak.

Czy byłby więc zdolny zabijać dla dobra sprawy, palić, niszczyć, krzywdzić dzieci?

Tak, byłby gotów.

Sędzia aż zachnął się z oburzenia.

– Ktoś taki nie może być wśród nas, ktoś, kto moralnie stoi tak nisko. – Odwrócił się do niego plecami i dał znak sprzysiężonym bez oka, z brodą i z tikiem.

Tamten w nelsonie spróbował ugryźć buldogowatego w ramię.

Podniosłem się.

– Czy aby ocaleć, byłby pan gotów tutaj, na naszych oczach, opluć i podeptać księgę?

Zbladł, twarz wykrzywiła mu się w wyrazie męki, zmieniając ją nie do poznania. Skulił się jeszcze bardziej, tak bardzo, że o mało nie wypadł z nelsona. Widać było, że cierpi straszliwie. Bełkotał coś do siebie, zsiniał, wierzgnął nogą, męczył się nieludzko. Jakby zapomniał o wszystkim, rozstrzygając coś w sobie. Obserwowaliśmy go z napięciem, nawet sprzysiężeni bez oka, z tikiem i z brodą nie odzywali się ani słowem, czując, że uczestniczą w niezwykłym akcie określania sensu życia. Nagle twarz wygładziła mu się, uśmiechnął się, wyprostował tak nagle, że omal nie przewrócił buldogowatego. Łagodnie zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie – powiedział. – Panowie, jestem gotów. Prowadźcie mnie.

Tylko lekkie drżenie dłoni, którymi przyciskał do piersi *Sztukę czytania*, zdradzało ogromne wzruszenie. Buldogowaty osłupiał i rozwiązał chwyt, tamten ani drgnął.

– Czekam – powtórzył.

Sędzia podrapał się z zakłopotaniem w czerwony puch.

– Cholera – zaniepokoił się. – To nam może zepsuć widowiskowość. Czy nie zgodziłby się pan – zbliżył się do skazańca obejmując go ramieniem – powyrywać się trochę, poszarpać, powierzgać, kiedy już będziemy ładować pana do skrzyni? Wie pan, dla pana to przecież drobiazg, zwykła uprzejmość, a nam by na tym bardzo zależało. Dla dobra idei.

Z pogardą odepchnął jego rękę.

– Spiesz się – powiedział. Czekam na was, panowie.

Oto fanatyk. Więc tak silną ma w sobie wiarę – pomyślałem z jakimś odcieniem zazdrości.

– Zobaczymy, czy starczy mu jej do końca.

Z sali dolatywały coraz głośniejsze okrzyki.

– Niech to diabli – machnął ręką sędzia nie możemy dłużej czekać. Trzeba zaczynać. Wkładamy pończochy. Skrzynia w górę. Dwóch niech go weźmie pod ręce i wolno, uroczyście. Chociaż my zróbmy, co się da. A pan niech obserwuje salę – szepnął do mnie.

Ruszyli. Najpierw tamten – nieobecny, uśmiechnięty, spokojny. Za nim twarze w pończochach i dopasowana skrzynia. Wrażenie na sali było ogromne. Ludzie rzucili się do tyłu, tłum falował, krzyczał. Efekt zepsuło trochę to, że wybrany sam pomógł ustawić skrzynię na ziemi, podniósł wieko, wskoczył do środka i sprawnie zatrzasnął je nad sobą. Obserwując z ukrycia przebieg wydarzeń zauważyłem, że sędzia pobladł z wściekłości. Wreszcie straszliwie zazgrzytała piła – deski były twarde i długo ślizgała się po wieku, wyskakiwała z rowka. Na koniec zaskoczyła i weszła miękko w boki skrzyni. Otoczyłem głowę ramionami, zamknąłem oczy, a kiedy otworzyłem je, zobaczyłem, że ze skrzyni wypadła przerżnięta na pół *Sztuka czytania*.

– To samo powinno się zrobić z jej autorem – mruknął buldogowaty.

Sala się ogromnie zintegrowała, chyba rzeczywiście większość zaczęła odczuwać potrzebę wejścia. Przywrócono dniokrotność, a raczej pobytodniowość, rozdzielono funkcje. Przygotowano się do wejścia. Całą salę podzielono na kwadraty, które pod pretekstem nauki nowego tańca dokładnie opukiwano. Byłem współtwórcą kilku figur. Dziewięciodniowcy sami zoperowali swego jedenastopalcowego przywódcę – podziękował im za to w publicznym wystąpieniu.

Przesuwałem się przez parkiet szukając Włosiaka. Nie wolno mi było zapominać o celu mojego przybycia. Przedtem parę razy mignął mi w tańcu – nie rozstawał się z tą kobietą, wyglądał na zadowolonego. Wreszcie stanęliśmy naprzeciw siebie. Przyjrzał mi się uważnie.

– Ten pana garnitur jest źle, niemodnie skrojony, trzeba będzie rozszerzyć nogawki i zrobić wcięcie w talii. Niech pan wpadnie do mnie przy okazji, zrobię to panu bezpłatnie. – Wziął mnie pod rękę i odprowadził na bok. – Wie pan – szepnął mi do ucha – nie rozumiem, co się ze mną dzieje. To chyba pod jej wpływem. Wie pan, ja... ja poczułem jakąś chęć życia. Błogosławię ten moment, kiedy wpadłem w dziurę.

Słuchałem z ogromnym zainteresowaniem.

– Jak to – spytałem – to nie myśli pan już o samobójstwie?

Pokiwał przecząco głową.

– Ale skąd! Przeciwnie.

Nie umiałem ukryć niezadowolenia. Oznaczało to zupełną zmianę zakończenia w przygotowywanej przeze mnie prozie. Zacząłem się przy tym obawiać, że Włosiak w ogóle nie nadaje się na bohatera. Jest bez charakteru, zmienia co chwila poglądy... Czy to rzeczywiście jest człowiek z krwi i kości? Może źle wybrałem? A może mylił się filozof?

– Panowie – krzyknął Włosiak do tańczących razem sprzysiężonych bez oka, z brodą i z tikiem – panowie, macie wszyscy źle wszyte ramiona. Wpadnijcie do mnie przy okazji, poprawię wam bezpłatnie. Wie pan – uśmiechnął się rozmarzonym, dziecinny uśmiechem. Zrozumiałem, że właśnie takiemu uśmiechowi nie mógł oprzeć się stary Włosiak – wydaje mi się, że będę znowu szył. – Przeprosił mnie i zniknął w tłumie wypełniającym parkiet, pociągając ją za sobą.

Orkiestra zagrała tusz. Na podium pojawił się nie znany mężczyzna w smokingu. Ukłonił się i powiedział:

– Na tym kończymy dzisiejszy program i zapraszamy państwa na jutro, jak zawsze o tej samej porze. Kasa skręcona, winiak, jarzębiak, soplica. Bardzo dziękujemy.

Orkiestra zagrała pożegnalnego marsza. Tłum zakołysał się i runął między kotary, za którymi zniknął kierownik. Ludzie przepychali się, wywracali, obserwowałem straszne sceny. Szpakowaty elegancki sprzysiężony zgubił numerki do szatni. Schylił się, aby podnieść, i więcej już go nie zobaczyłem – ludzkie mrowie pokryło go zupełnie. Przy mnie wgnieciono tak mocno jakąś kobietę w ścianę, że kiedy tłum cofnął się nieco, w ścianie zachowało się wgłębienie odpowiadające jej figurze. Sprzysiężony z tikiem wskoczył na sprzysiężonego z brodą i jechał na nim w stronę wyjścia, sprzysiężony bez oka zawył, chwyciwszy się za twarz, kiedy buldogowaty brutalnie usunął go z kolejki. Falujący tłum rzucił mnie na Włosiaka, który obu ramionami osłaniał kobietę, chroniąc ją przed zgnieceniem. Jego twarz zachowała wyraz szczęścia.

– Będę znów pikował białą nitką smokingi.

– Ja ci kupię białą nitkę – pocałowała go w usta.

Chwycił ich nowy wir i kiedy znikali już pod sąsiednią ścianą, usłyszałem jeszcze: „Będę obrzucał ręcznie szwy”, i jak echo doleciała do mnie jej odpowiedź: „Będę ci ostrzyła igły.”

Starąłem się uniknąć zawrotu głowy i włączyłem się w wir kręcący się w przeciwną stronę. Jego oś stanowił sędzia rozpaczliwie usiłujący schwytać i wciągnąć drugi rękaw marynarki. Widocznie jego także zaskoczył rozwój wydarzeń. Gdzieś z daleka usłyszałem okrzyk: „Chcę mieć dziecko!”, potem wionął ku mnie z oddali jej szept: „Ja ci dam dziecko.”

Wirując z nosem wbitym w kamizelkę sędziego zastanawiałem się, czy filozof miał rację, gdy żądał ode mnie, abym nasycił swoją twórczość metafizyką, skoro życie, takie jakie jest, jest przecież niesłuchanie bogate. Poza tym odnowiły się znów wątpliwości, czy Włosiak nadaje się na bohatera. To chce szyć, to nie chce. Myślałem też, jak to właściwie wszystko wyglądało naprawdę: czy byliśmy zamknięci, czy nie? Czy zamknięcie należało do programu, czy też nastąpiło niezależnie od niego? Kim byli sprzysiężeni i czy wiedzieli o programie, byli jego częścią, czy też byli reakcją na program? Jaki los spotkał ostatecznie sprzysiężonego

ze *Sztuką czytania*? Wszystko to było tak niejasne, że nie umiałem sobie dać z tym rady. Wypadając z wiru pomyślałem, że dzieją się jeszcze dookoła rzeczy, o jakich się filozofowie nie śniło.